NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk.— 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty

REDAKCYA I ADMINISTRACYA **KRAKÓW**, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok IV. Kraków, 29 czerwca 1907. Nr. 26.

Śmierć kapłana z rąk bandytów.

(Treść na stronie 2).



Od Administracyi.

Ponieważ z numerem dzisiejszym kończy się kwartał drugi wydawnictwa, przypominamy Szanownym P. T. Abonentom naszym, że

czas odnowić przedpłatę!

W tym celu załączamy do dzisiejszego numeru przekazy pocztowe dla Pp. Prenumeratorów galicyjskich.

Przedpłatę nadsyłać najlepiej wprost do naszej Administracyi centralnej pod adresem:

Kraków, ul. Zacisze 7.

a w Królestwie Polskiem do Biur G. Ungra w Warszawie: ul. Wierzbowa 8, lub Aleje Jerozolimskie 78.

Kto nie nadeśle przedpłaty najpóźniej do 10-go lipca, temu już nie wyślemy numeru 28-go.

Nowoprzystępujący prenumeratorowie otrzymają **bezpłatnie** początek drukującej się w „Now. Illustrowanych“ powieści **A. Gruszeckiego** pod tytułem:

„Na wulkanie“.

Śmierć kapłana z rąk bandytów.

(Do illustracyi tytułowej).

Stosunki w Królestwie Polskiem stają się coraz bardziej niemożliwe. Bandytyzm, poskramiany od czasu do czasu po miastach i znajdujący tam w wielu wypadkach dzielny opór, przenosi się na wieś, gdzie z całą swobodą, bez obawy przed jakąkolwiek władzą, może grasować. To też czelność i zuchwalstwo bandytów przechodzą wszelkie granice. Nie ma dla nich nic drogiego, nic świętego, gotowi rzucić się na wszystko i na wszystkich, skoro mogą tylko liczyć na jakikolwiek łup. Przed bandytami i ich łupieską chciwością nie uchroni dziś ni suknia kapłańska.

Oto — jak donoszą z Kielc — ofiarą bandyckiego rabunku i mordu padł w ubiegłym tygodniu ks. Szwarc, proboszcz parafii Bebelno w powiecie włoszczowskim. Zgraja opryszków otoczyła wieczorem plebanię, a dawszy przez okno strzał do pokoju, położyła sędziwego kapłana trupem na miejscu. Kula bowiem, przeszedłszy przez ramę okna, trafiła go w samo serce. Po tym strasznym mordzie nastąpił rabunek. Rabusie ubezwładnili służbę i zażądali wskazania miejsca, w którem kapłan przechowywał pieniądze. Nie dowierzając zaś zapewnieniu, iż prócz drobnej sumy na bieżące wydatki, żadnych pieniędzy w domu niema, bandyci porozbijali wszystkie możliwe schowki a zabrawszy stamtąd wszystko, co jakąkolwiek przedstawiało wartość, ulotnili się bez śladu. Przeszkody nie doznali żadnej w swem barbarzyńskiem dziele.



Zasłużony adwokat: Śp. dr. Władysław Lisowski.

Zasłużony adwokat.

W dzisiejszych czasach tak trudno jest dojść na drodze adwokatury do wybitnych wyników — o ile ktoś nie poświęca się karyerze politycznej — że osobistości, które w ten sposob zdobyły sobie stanowisko dominujące należą do prawdziwych rzadkości.

Jedną z osobistości tego rodzaju był ś. p. dr. Władysław Lisowski, adwokat bardzo znany w Krakowie, który swym niepospolitym talentem, wielką energią i charakterem wybił się ponad tłum zawodowych kolegów. Najlepszym tego dowodem, że na podstawie ich zaufania powołany był do piastowania godności prezydenta Izby adwokackiej w Krakowie, która jest instytucyą wskazaną, aby strzegła godności oraz interesów stanu obrońców prawnych, mających tak piękną tradycyę w „palestrze“ polskiej.

Niestety śmierć wyrwała go z pomiędzy szeregów żyjących i to w sposób tak nagły, którego nikt z najbliższego nawet otoczenia nie mógł przewidzieć. Przyczyną skonu był anewryzm serca, choroba, jak wiadomo, tego rodzaju, gdzie niesposób przewidzieć, gdy staje się naprawdę niebezpieczną.

Zmarły należał do najstarszych rzeczników krakowskich, których młodsze pokolenie upatrywało w nim wzór pełnego wiedzy i sumiennego prawnika.

Śp. dr. Lisowski należał przez dłuższy czas do Rady miasta Krakowa, gdzie odznaczał się gorliwem i bardzo dokładnem spełnianiem swych obowiązków radzieckich. Przez pewien czas także zajmował wpływowe stanowisko w krakowskiem Towarzystwie Wzajemnych Ubezpieczeń, którego prawie do ostatnich czasów był syndykiem, podobnie jak i Towarzystwa wzajemnego kredytu. Zmarł jako najstarszy z adwokatów krakowskich, licząc przeszło czterdzieści lat karyery zawodowej, w której świecił zawsze przykładem.



Nasze przyszłe malarki: Grupa uczenic kursu malarskiego im. Baranieckiego. Obok dyr. dr. Rostafiński (1) i prof. W. Wodzinowski (2). Fot. aparatem red. W. Lis.

Nasze przyszłe malarki.

Staraniem śp. Adryana Baranieckiego powstała w Krakowie przed przeszło dwudziestu laty instytucya wyższych kursów naukowych dla kobiet. W instytucyi tej osobny dział tworzy szkoła rysunków i malarstwa, jedyna w Polsce dla kobiet dostępna. Pod kierunkiem wybitnych artystów-malarzy a sumiennych nauczycieli, szkoła ta rozwija się bardzo pięknie a uczenice, których liczba dochodzi zwykle pięćdziesięciu, czynią duże postępy. Niejedna z nich zajmie z pewnością w historyi polskiej sztuki wybitne stanowisko.

Każdoroczny kurs tej szkoły kończy się wystawą najlepszych prac oraz odznaczeniem ich przez komisyę egzaminacyjną. Właśnie przed kilku dniami nastąpiło zakończenie ostatniego kursu oraz otwartą została wystawa prac uczenic. Wystawa ta mieści się w lokalu szkoły przy ul. Szewskiej. Ogromną salę wypełniono mnóstwem rysunków oraz obrazów olejnych, stanowiących dorobek artystyczny szkoły w ostatnim roku. Są tam kredkowe akty i studya, przeważnie bardzo dobre i starannie wykonane, są dalej olejne obrazy, również studya, wykazujące doskonałą technikę, kolorystykę bez zarzutu, a malowane z artystycznym rozmachem i pewnością. Mało stosunkowo wśród nich pejsaży i nieszczególne.

Z pomiędzy wystawionych rzeczy ogólną zwraca uwagę portret pani N., praca uczenicy kursów, panny Zofii Sieniawskiej. Rzecz to bezwarunkowo pierwszorzędnej wartości, pod względem wykonania skończona. Słusznie też przyznano pannie Sieniawskiej za to dzieło i za parę innych, mniejszych, choć równie dobrych, pierwszą nagrodę. Pierwszą nagrodą odznaczone zostały również prace rysunkowe pny Knausównej. Nagrody drugie otrzymały panie Czajkowska i Wołoszynowska, których liczne prace odznaczają się wykonaniem, znamionującem wybitne zdolności.

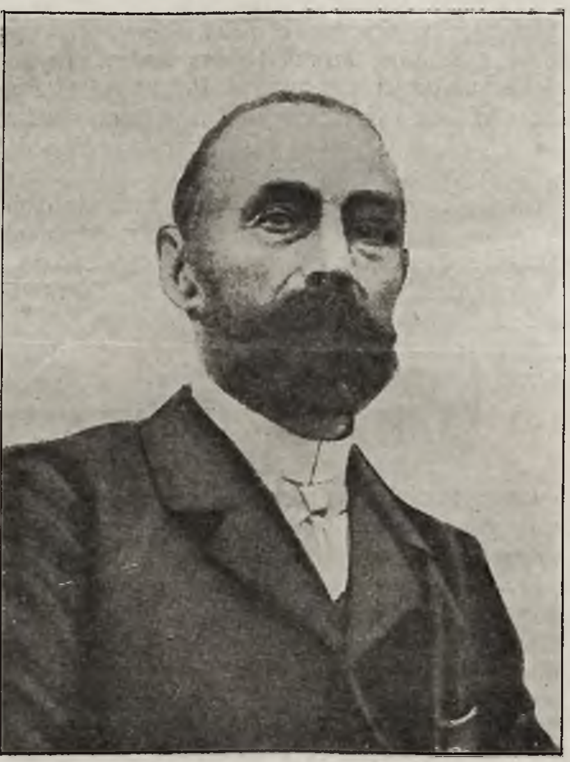
Plon całorocznej pracy przynosi zaszczyt nietylko dużemu zastępowi uczenic szkoły ale i profesorom, którymi od szeregu lat są znani zaszczytnie artyści-malarze pp. Józef Siedlecki, nauczyciel rysunków i Wincenty Wodzinowski, nauczyciel malarstwa.

* * *

W numerze dzisiejszym zamieszczamy zdjęcie fotograficzne, przedstawiające grupę kilku uczenic kursów im. Baranieckiego, wraz z dyrektorem dr. Rostafińskim i profesorem Wodzinowskim.

Krwawe przesilenie we Francyi.

Zaburzenia, wywołane przez właścicieli winnic w południowej Francyi, przybrały rozmiary nieprzewidziane, ani przez rząd, ani może nawet przez samych inicyatorów tych zaburzeń. Gdzie szukać ich właściwej genezy — odpowiedź narazie trudna, lecz jedno nie ulega kwestyi, a mianowicie fakt antagonizmu, jaki zawsze panował między południem, a północą Francyi. Antagonizm ten, szczególniej na polu ekonomicznem, był już nieraz przyczyną ostrych zatargów między południowo-zachodnimi prowincyami Francyi, a resztą kraju.



Krwawe przesilenie we Francyi: Marcelin Albert, przywódca buntujących się właścicieli winnic.

Ścisła centralizacya, jaką przeprowadziła w całej Francyi wielka rewolucya, nie zdołała jednak zatrzeć zasadniczych różnic między pojedyńczemi jej częściami, różnic wynikających z rozmaitej szerokości geograficznej, oraz z rozmaitego rodzaju gleby. I tak, gdy na północnym wschodzie i zachodzie Francyi, łozę winną uprawia się tylko, jako roślinę zbytkowną, stanowi ona na południu jedno z głównych źródeł bogactwa miejscowej ludności.

Skutkiem jednak z jednej strony hyperprodukcyi wina w departamentach: Hérault, Aude, Ariège, Gard itd. a z drugiej — z powodu na olbrzymią skalę dokonywanego w Paryżu i po innych miastach fałszerstwa win, powstała sytuacya bardzo groźna dla właścicieli winnic w wymienionych okolicach.

Zaczęli się oni burzyć już pół roku temu. Narazie zbierali się na meetingi, uchwalali na nich rezolucye przeciw obecnemu gabinetowi, wogóle dawali folgę swemu niezadowoleniu pochodzącemu stąd, że rząd nie bierze ich dostatecznie w opiekę. Sformułowali zaś swe pretensye w dwóch punktach: po pierwsze, aby przez ograniczenie fabrykacyi cukru fałszowanie wina stało się niemożebnem, względnie bardzo utrudnionem i po drugie, aby rząd postarał się „wogóle“ o zaradzenie obecnemu położeniu właścicieli winnic.

Na czele ruchu winogradników z południowej Francyi stanął niejaki Marcelin Albert, którego portret podajemy w dzisiejszym numerze naszego pisma, i zdołał „południe“ pobudzić do groźnego ruchu przeciw „północy“. Jego płomienne mowy zdziałały tyle, że południowcy „ruszyli się“, że wśród tamtejszej ludności rozpoczął się ruch, noszący znamiona faktycznej rewolucyi i popłynęła krew. Rząd bowiem centralny w Paryżu nie mógł pozwolić na to, aby znieważano urzędników, aby strzelano do wojska, jednem słowem, aby lekceważono sobie istniejące urządzenia trzeciej rzeczypospolitej.

Do tego jeszcze dodać potrzeba, że na skutek agitacyi winnic zbuntowali się żołnierze. Pułk 17-ty piechoty wymówił posłuszeństwo, zrabował ostre ładunki i gotów był dać hasło do otwartej wojny domowej.

O ile jednak wiadomo do chwili gdy piszemy te słowa, energiczne wystąpienie prezydenta gabinetu Clémenceau, odniosło pożądany skutek. Sprowadzono wojsko z innych okolic Francyi i aresztowano głównych przywódców buntu. To podziałało uspokajająco na gorący temperament południowców. Niestety jednak padło kilka ofiar rozruchów, których pogrzeb w Narbonie odbył się, wbrew przewidywaniom, spokojnie.

Najniezawodniej parlament francuski zajmie się gruntowną sanacyą stosunków na południu, a wówczas ustaną przyczyny obecnych zaburzeń.

Pruskie gwałty.

Tuż nad granicą Kongresówki leży na Śląsku górnym miejscowość Rożdzień (po niemieku Ros-



Krwawe przesilenie we Francyi: Marcelin Albert przemawia do tłumu zbuntowanych właścicieli winnic w Narbonie.

dzień), gdzie prawi Polacy założyli towarzystwo „Sokół“. Wiadomo powszechnie, że „Sokół“ nigdzie i nigdy nie nastawał na całość polityczną państwa, gdzie pozwolono mu istnieć. Pomimo tego jednak pruskie wpływy, które sięgają aż do Petersburga, sprawiły tyle, że „Sokół“ rozwiązano w Królestwie polskiem.

U siebie jednak Prusacy, którzy mają tak niesłusznie pretensyę do miana cywilizowanego narodu, postępują inaczej. Nie rozwiązali sokolich towarzystw w całem państwie, natomiast jednak gnębią je w sposób ohydny, a bez najmniejszej racyi.

Tak stało się właśnie w Rożdzieniu, skąd dwunastu druhów powołano przed Izbę karną w Bytomiu. Proces trwał dwa dni. Prokurator oskarżał ich o niestworzone rzeczy. Zarzucił im w pier-



Pierwsze krakowskie Tow. weteranów wojskowych: Jan Staszczyk były prezes Towarzystwa.

wszym rzędzie, iż przestąpili prawo o stowarzyszeniach, dalej, że utworzyli tajny (sic!) związek, że podburzali do gwałtów itp. Widział on również niebezpieczeństwo dla państwa pruskiego w tem, że Sokoli rożdzieńscy zajmowali się polityką, oraz, że korespondowali i stykali się z bratniemi towarzystwami w Galicyi. Zbrodnią w jego przekonaniu było to, iż czytano na zebraniach Towarzystwa o powstaniu Kościuszkowskiem, iż zachęcano się do oszczędności i wstrzemięźliwości.

Wreszcie świadkowie obciążający zeznali pod przysięgą, że Sokolstwo polskie liczy obecnie 32 tysiące członków, którzy tworzą kadry przyszłego wojska, mającego odbudować Polskę od morza do morza. Wobec tak groźnych konjunktur dla królestwa Pruskiego, sąd wydał wyrok przechodzący wszystko swem barbarzyństwem.

Na podobiźnie tych dzielnych, a niewinnych ludzi, którą podajemy w tym numerze, wymienione są kary, jakie ich spotkały. Czyż wobec tego można twierdzić, że w Prusiech istnieje sprawiedliwość?...

Krajowy Związek turystyczny.

(Do illustracyi na stronie 10).

Przez swoich niedoceniana, przez obcych pogardzana, a przez rząd centralny na szarym końcu pod każdym względem stawiana Galicya, należy jednak do krajów przez przyrodę nadwyczaj hojnie wyposażonych. Pomijając bogactwa, ukryte w głębi ziemi, jak sól, nafta, wosk, węgiel, pomijając skarby, jakimi są olbrzymie, dziewicze lasy, podnieść należy nieocenione piękności, istne cuda przyrody, jakich pełno na całej długiej przestrzeni południowej Galicyi, od Tatr począwszy aż po krańce Wschodniego Beskidu koło Kut i Żabiego. Niestety okolice te za mało były dotychczas znane, za słabo reklamowane, to też ruch turystyczny do Galicyi bardzo wolno i bardzo marnie się rozwijał.

Nową epokę pod tym względem zamierza stworzyć istniejąca od roku w kraju naszym, z siedzibą w Krakowie, instytucya: „krajowy Związek turystyczny“. Celem tej instytucyi jest skierowanie ruchu obcych turystów do Galicyi, a następnie ułatwienie i udogodnienie im zwiedzenia najpiękniejszych okolic kraju. Rzecz oczywista, że obok moralnych korzyści musi przynieść ożywiony ruch turystyczny także korzyści materyalne naszemu krajowi. Wszak wiadomą jest rzeczą, że w wielu okolicach Szwajcaryi, lub Włoch północnych, ludność miejscowa żyje prawie wyłącznie z turystów.

Już dotychczasowa działalność kraj. Związku turystycznego zaznaczyła się wcale wybitnymi rezultatami a jednym z dalszych kroków ter działalności będzie zorganizowana przez Związek wycieczka kilku wyższych urzędników ministeryalnych z Wiednia do Galicyi. Zwiedzą oni Kraków, a dalej Zakopane, Wieliczkę, Szczawnicę i inne piękne nasze miejscowości. Należy się spodziewać, że po naocznem zapoznaniu się z krajem naszym dygnitarze ci pozbędą się uprzedzeń i niechęci, z jakiemi dotychczas odnosili się do Galicyi. Poparcie ich przyczyni się też niewątpliwie w wysokim stopniu



Pierwsze krakowskie Tow. weteranów wojskowych: Antoni Kunze, nowowybrany prezes Towarzystwa.

do zrealizowania celów kraj. Związku turystycznego.

Na czele związku stoi jako prezes J. E. Antoni hr. Wodzicki, jego zastępcami są radca dr. Józef Muczkowski i poseł dr. Roger Battaglia. Sekretarzem jest p. Zygmunt Rosner, który wraz z wiceprezesem dr. Muczkowskim z całem poswięceniem się i wielką energią pracują nad rozwojem Związku.

Energia tych obu panów, znanych dobrze z działalności na innych polach, daje wszelką rękojmię, iż krajowy Związek turystyczny nie rozminie się ze swymi przewodnimi celami, że w najbliższym czasie ożywi zaniedbany dotychczas z dużą szkodą dla kraju ruch turystyczny do Galicyi i przyczyni się w ten sposób do jej podniesienia.

Liczyć też należy, że wpływy prezesa Związku J. E. Antoniego hr. Wodzickiego i członka wydziału Związku, radcy dworu Horoszkiewicza, zapewnią pożytecznej instytucyi poparcie i pomoc rządu.

* * *

Rycina nasza, którą obok zamieszczamy, przedstawia Wydział Związku, obradujący pod przewodnictwem prezesa Antoniego hr. Wodzickiego w biurze radcy dworu Horoszkiewicza.



Pruskie gwałty: Członkowie polskiego Sokoła w Rożdzieniu, skazani przez sądy pruskie: 1. Teodor Chachowski, 4 miesiące; 2. Jan Badura, 6 miesięcy; 3. Adam Czupala, 4 miesiące i 1 tydzień; 4. Edward Hołota, 1 miesiąc; 5. Piotr Łyszczak, 4 miesiące; 6. K. Skulik, 2 miesiące; 7. L. Zieloska, 4 miesiące; 8. Paweł Handy, 1 miesiąc.

Na wulkanie

Powieść ARTURA GRUSZECKIEGO

na tle ostatnich rozgłośnych wypadków w Królestwie Polskiem.

29 Ciąg dalszy.

Zwrotniczy przeszedł placyk i skręciwszy w przejście wąskie pomiędzy węglami a budynkiem, przystanął, rozejrzał się bacznie wokoło i szepnął:

— Dajcie odezwy — a gdy podała, zważył je w ręku, mówiąc — coś mało, ileż tego?

— Dwadzieścia pięć.

— Ha, trudno... muszą się kontentować jedną na kilku... możecie więcej, to dajcie.

— Chyba jutro przyniosę ze sto.

— Za dużo, starczy pięćdziesiąt.

— Dobrze. A kiedy posiedzenie kółka? Przyniosłabym wówczas.

— Pogadamy jeszcze o tem — wyszedł z przejścia na placyk i oparłszy się na przymurku, mówił dalej: — ot dziwno mi, że kiedy taka moc ludzi ryzykuje zarobek i miejsce, nie licząc prześladowań, a cały naród ucierpi, jak staną koleje, my mamy żądać tylko polepszenia płacy.

— A jakże wy chcecie?

— To nie ja chcę, ale wszyscy wołamy o jedno, o Polskę i wolność, w tem grunt, a reszta sama się znajdzie.

Wandzi aż oczy zaszkliły się z rozrzewnienia i odruchowo uścisnęła jego czarną, spracowaną rękę.

— Jacy wy zacni!

— To nie ja — uśmiechnął się — ale my wszyscy i nie sami kolejarze, ale cały naród tego tylko pragnie... i delegaci muszą tego żądać twardo, bo i po co strejk?

— Delegaci rosyjskich kolei postanowili żądać wolności i zwołania zgromadzenia narodowego w Petersburgu.

— Oni dbają o swoje, a my musimy o swoje się upomnieć i musi być w Warszawie sejm, dość już radzili o nas bez nas, raz temu musi być koniec.

— I będzie na pewno... Kiedyż posiedzenie kółka?

— Jakie tam posiedzenie? — zaśmiał się — powie się temu, owemu, zejdą się, dowiedzą się, po co ten strejk, oznaczy się pora zaczęcia... i tyle.

— W takim razie dowiem się od was towarzyszu, co uchwalono.

— Widzi mi się, że i wy chcecie i nam to dogodzi, jak będziecie z nami. Tak przyjdźcie jutro o piątej do mego mieszkania i zaprowadzę was... A teraz bywajcie... spieszno mi... a traficie?

— Znam drogę... do widzenia — podała mu rękę.

Bal, który ją według umowy oczekiwał w restauracyi kolejowej, uśmiechnął się, widząc ją tak rozpromienioną i szczęśliwą.

Zasiedli przy stole, zamówiwszy jedną z potraw, a Bal spytał:

— Załatwiłaś?

— Ach, Władku, jacyż oni są dobrzy, mili i tacy Polacy!...

— Iluż ich było?

— Wiesz, ten Jędrek... taki mały chłopczyk, który mnie prowadził, bo nie zastałam zwrotniczego...

— Wiem... widziałem tego malca.

— Jaki on przyjemny, mówi o sobie: człowiek— zaśmiała się — i taki patryota...

— No, dobrze... opowiadaj kolejno i szczegółowo, a zachwyty nad Jędrkiem na końcu.

— Ty nie wyobrażasz sobie, jaki on zabawny i jeśli mam kolejno mówić, więc i o nim.

— Dobrze, słucham.

Opowiadała szczegółowo, przeplatając swe przygody zabawnemi uwagami i zachwytami nad sposobem rozumienia strejku przez zwrotniczego.

— Jeśli umiałaś poradzić sobie z nim, zostawię cię twemu losowi. Jeszcze przed obiadem pójdziesz do magazynu podręcznego, pokażę ci gdzie, tam zapytasz — wymienił imię i nazwisko — żona jego szyje bluzki dla sług... a gdyby go nie było, nie czekaj, ale spytaj się o N. N., spinacza wagonów; córka jego w pralni na Bonifraterskiej... po załatwieniu jedź do domu.

— I już na dzisiaj wszystko? — spytała z odcieniem żalu.

— Prawdopodobnie pójdziesz dzisiaj na Wiedeńską... i jeszcze raz proszę cię, pilnuj się szpiegów, bo i siebie i drugich narazisz.

Robota partyjna, tak pepeesowców jak i esdeków rozwijała się gorączkowo, a z drugiej strony rząd wysilał się, aby strejk zażegnać i pochwycić agitatorów. Odezwy rozrzucano na dworcach, we wagonach, w warstatach i wkrótce całe miasto mówiło o kolejowym strejku. Oczekiwano go lada chwila, lecz gdy dzień po dniu mijał spokojnie, wówczas nawet pessymiści mówili rozpogodzeni:

— Z tego strejku nic nie będzie; kolejarze przerazili się rządu.

Do pewnego stopnia opadła też czujność władz, udało się bowiem policyi i żandarmom pochwycić kilkunastu agitatorów.

Socyaliści nie ustawali w pracy agitacyjnej, a szczerby, zrobione przez aresztowania, zapełniali nowymi ochotnikami, że ubytku znać nie było.

Wanda zajęła się gorączkowo koleją Nadwiślańską, bywała na zgromadzeniach, kółkach, a szczególniejszą sympatyą obdarzyła kółko, do którego należał zwrotniczy.

Za trzy dni miał się rozpocząć strejk w Moskwie, więc spieszono się z wyborem delegatów i właśnie dziś miano wybrać pełnomocnika w kółku, który miał oddać swój głos na delegatów kolei Nadwiślańskiej.

O godzinie szóstej popołudniu zaroiło się na placyku od niższej służby kolejowej, rozstawiono czaty.

Było dwóch kandydatów: zwrotniczy i dozorca plantu, człek bywały, obrotny i mowny.

Właśnie skończył swą przemowę, czego trzeba wymagać od delegata i na jakiego oddałby swój głos, gdy dano znak ostrzeżenia z dwóch stron, a z trzeciej wbiegł towarzysz od przejścia ze strony węgla i rzekł pobladły:

— Żandarmi i policya!

— Dużo?

— Po dwóch z każdego rogu.

— Stać cicho! — krzyknął zwrotniczy — a ty Kacper mów o drożyźnie ziemniaków i potrzebie sprowadzenia.

Wezwany wskoczył na zaimprowizowane dla poprzedniego mowcy wzniesienie i jął głośno prawić o ziemniakach.

Zwrotniczy zwrócił się do bliższych towarzyszy:

— Nam furda bracia, nic nam nie zrobią, ale z towarzyszką źle będzie — wskazał na Wandę.

— Prawda!... Szkoda jej... To bieda!

— Nie damy jej — jeden zawołał.

— Ciszej — upomniał zwrotniczy — najpierw zasłońmy ją i przesuńmy się do przejscia.

— Towarzysze — rzekła Wanda — nie narażajcie się; niewielka historya, gdy mnie zaaresztują, byle strejk się udał.

— Ba towarzyszko, tu idzie i o nas — uśmiechnął się zwrotniczy — my radzimy o ziemniakach a wy po co?

— Sprzedaję wam — odpowiedziała.

— Nie uwierzą — szepnął posuwając się z grupą bliżej przejścia.

W tej chwili ze wszystkich czterech rogów weszli na placyk żandarmi i policyanci; pierwsi z rewolwerami gotowymi do strzału, drudzy z obnażonymi pałaszami.

Czterech stanęło w przejściach, a czterech przysunęło się do robotników i wachmistrz żandarmski, rozpocząwszy od wyłajania i gróźb, zaczął indagacyę bliżej stojących, nakazawszy mówcy milczenie.

Tymczasem zwrotniczy zbliżał się wraz z kolegami i Wandą ku przejściu przy węglach, a inni zebrani, ostrzeżeni, zasłaniali idących.

Do zwrotniczego przystąpił jeden z kolejarzy i szeptał:

— Sprowadził ich na nas ten nowo przyjęty na stacyę.

— Który?

— Blondyn, Łazoń.

— Wiem... mówiliście naszym?

— Jako i wam.

Policyant, stojący u przejścia zawołał, groźnie:

— Rozejtyś!

Wszczął się gwar, wachmistrz począł kląć, inni mu wtórowali, a tymczasem kolejarze tak ścisnęli policyanta i równocześnie odsunęli od przejścia, że zwrotniczy wraz z Wandą zdołali się przemknąć i w chwili, gdy wachmistrz ze swymi pomocnikami dobiegli do oblężonego policyanta, Wanda z towarzyszem zniknęli za budynkiem.

Zwrotniczy rozejrzał się wokoło i szepnął:

— Byle do wozów się dostać — wskazał na szereg wozów, stojących na szynach, oddalonych o jakie trzydzieści kroków.

Szybko doszli, a zwrotniczy schwyciwszy Wandę w pół, wzniósł ją do poziomu podłogi wagonu, przeznaczonego na przewóz koni, zasunął drzwi i z całym spokojem pracującego robotnika począł coś majstrować przy sąsiednim wagonie.

W tej chwili wybiegł z placyku wachmistrz z trzema pomocnikami, spojrzał wokoło a dostrzegłszy zwrotniczego przy wagonach, zawołał:

— Hej! ty! słysz! Człowiek!

— A czego tam? — odkrzyknął zwrotniczy.

— Stupaj ka mnie! — wrzasnął wachmistrz rozsrożony.

Zwrotniczy zbliżył się, a po zapytaniu, czy nie widział kogo wychodzącego, przyszły inne o nazwisko i zajęcie.

Wachmistrz odesłał zwrotniczego do pracy, rozesłał podwładnych, aby obejrzeli plant i postawszy chwilę, zaklął i wrócił na placyk, aby spisać nazwiska zebranych. Po dokonanej rewizyi aresztował pięciu za nielegalną literaturę i Kacpra, przemawiającego o ziemniakach.

Wanda nie czuła w czasie całego przejścia żadnej obawy, przeciwnie przygoda ta bawiła ją, zaniepokoiła się tylko, gdy wachmistrz krzyknął na zwrotniczego, ale więcej bała się o niego, aniżeli o siebie, a chcąc widzieć scenę, próbowała odsunąć drzwi; były jednak za ciężkie.

Gdy posłyszała kroki wracającego zwrotniczego, ucieszyła się, a z zewnątrz odezwał się cichy szept:

— Siedźcie cicho, w kącie ławeczka, czuwam nad wami — i oddalił się.

Posłuchała rady i dopiero przy zapadłej nocy zwrotniczy uwolnił ją z wagonu i doprowadził do ulicy Bonifraterskiej, uwiadamiając ją, że jutro przy niedzieli o godz. 3-ciej zbiorą się towarzysze z dwóch kółek w jednym z domów przy szosie Marymonckiej i zachęcał, aby przyszła.

Tego samego dnia Porwa, idąc ulicą Bielańską, zauważył Gołubiewa na przeciwległym chodniku. Szedł z miną niedbałą, przyglądał się wystawom sklepowym, widocznie oczekiwał kogoś. To zaciekawiło Porwę i stanąwszy w cieniu, śledził go. Po kilku minutach zbliżyło się do Gołubiewa dwóch ludzi, sądząc z pozoru dwóch robotników i wszyscy trzej weszli w bramę hotelu. Porwa dojrzał, jak rozmawiali na dziedzińcu przed wejściem do piwiarni, jak Gołubiew dawał im jakieś pieniądze; wreszcie ci dwaj głęboko skłonili się odchodzącemu Gołubiewowi i weszli do piwiarni.

Zastanowiło to Porwę, jaki stosunek mógł łączyć Gołubiewa z tymi ludźmi? Nie byli to ajenci lub szpiedzy rządowi, nie wyczekiwałby ich na ulicy, nie wchodził z nimi w bramę, nie płaciłby im sam. Musieli mu oddać jakąś przysługę osobistą, ale jaką? Nie namyślając się długo, wszedł do piwiarni.

W sali wielkiej, oświetlonej, było stosunkowo jeszcze nie wiele gości przy małych stolikach. W rogu na podniesieniu niewielkiem grał ślepy muzyk na fortepianie a drugi wtórował mu na skrzypcach.

Przed bufetem, założonym przekąskami zimnemi i flaszkami z wódką, raczyli się właśnie dwaj towarzysze Gołubiewa.

Porwa przystąpił do bufetu i poprosił o kieliszek wódki. Bufetowa, ładna i młoda kobieta, z uśmiechem zalotnym spytała:

— A jakiej pan pozwoli?

Porwa udał, że nie może się zdecydować, przysunął się bliżej do Szala i Łazonia, a bufetowa zachęcała:

— Może pomarańczówki? albo przepalanki, albo żytniowej?

— Niech mi pani da takiej, jak tym panom — wskazał oczyma na sąsiadów.

— Ci panowie piją mocną z arakiem; dać i panu taką?

— Daj pani, cóż ja gorszego — uśmiechnął się i skinieniem głowy ich witał.

— Taka najlepsza po pracy — rzekł Szal.

— To się wie — potwierdził Łazoń z uznaniem.

Porwa wypił kieliszek, mówiąc:

— Macie panowie racyę, mocna bo mocna, ale smakuje.

— Bo idzie na zdrowie — wyjaśniał Szal.

— W takim razie daj pani trzy... panowie wypiją?

— Możemy — uśmiechnął się Szal łaskawie — taka nie zaszkodzi.

Wypili, zagryźli chlebem ze solą a Szal spytał od niechcenia:

— Jeżeli wolno zapytać, pan z jakiego fachu?

— Byłem urzędnikiem we fabryce, ale zamknięto ją z powodu strejku.

— Tak? Dużo ludzi zostało bez chleba z powodu strejków, sam znam całą kupę... A w jakiej fabryce?

— Z odlewni na Pradze. A panowie gdzie pracują?

— My także we fabryce — mrugnął do Łazonia, co zauważył Porwa — ale źle nas płacą i urządzimy strejk.

— Hm... nie tak źle, kiedy panowie tu zachodzicie — uśmiechnął się Porwa.

— To przy sobocie, aby odetchnąć. A pan szuka nowej służby?

Porwa od samego początku rozmowy zmiarkował, że sam jest wypytywany, a ta natarczywa indagacya, głośne przyznanie się do zamierzonego strejku, upewniły go, że ma do czynienia nie z robotnikami, lecz szpiegami dość niezręcznymi.

— Prawie że mam nowe miejsce — odpowiedział na pytanie — ale niepewne, jak wszystko dzisiaj; a może panowie słyszeliście o jakiej posadzie?

Szal obejrzał Porwę szczegółowo i po chwili rzekł:

— Na razie nic nie wiem, a może ty słyszałeś? — zwrócił się do Łazonia.

— I ja nie.

— Ale trafia się czasem... może pan powie swój adres, dałbym znać.

— I owszem — uśmiechnął się Porwa — ale cóż tak na sucho będziemy rozmawiali, napijmy się piwa.

Usiedli przy stoliku, a Porwa podał pierwsze lepsze nazwisko i adres, co zapisał Szal starannie. Jednak w stosunku do Porwy obydwaj objawiali nieufność i zwątpił już, czy wydobędzie z nich, gdzie pracują.

Ręce ich grube, czarne wskazywały, że oni są robotnikami, a więc jako szpiedzy mogą szkodzić partyi.

Pomógł Porwie przypadek, wszedł bowiem do restauracyi znajomy Szala i zbliżywszy, się zaczął:

— Wiecie, dziś aresztował wachmistrz sześciu kolejarzy.

Łazoń spojrzał porozumiewawczo na Szala, któremu, jak było widać z miny, nie na rękę był znajomy i rzekł do niego:

— Zaraz przyjdę do was... pogadamy — a gdy ten się zawahał, Szal wstał i poszedł w głąb sali.

Porwa zaczął mówić o częstych aresztowaniach i w końcu spytał, o jakiej kolei wspomniał ten znajomy.

— Dobrze nie wiem, a człowiek nasłucha się tylu bajek, że zobojętnieje na wszystko.

Wrócił Szal i rozpoczął obojętną rozmowę. Porwa zadzwonił o rachunek, a posprzeczawszy się z płatniczym o jakość zakąsek, podszedł wraz z nim do bufetu, aby mu pokazać, co jadł i szepnął:

— Wyjdź pan na podwórze, zaczekam — i dał mu do ręki napiwek, a następnie zapłacił rachunek przy stole.

Pożegnawszy przygodnych znajomych, wyszedł z restauracyi. W kilka minut dojrzał płatniczego, wychodzącego bocznemi drzwiami.

— Zna pan tych, z którymi siedziałem? — a na ruch przeczący dodał — przy pierwszym stoliku obok fortepianu siedzi brunet w paltocie jesiennym pan podawał mu piwo; dowiedz się pan od niego, jak ci moi znajomi się nazywają, gdzie pracują, zapłacę dobrze.

Płatniczy, słuchając propozycyi, przybrał minę poważną, a gdy Porwa skończył, rzekł:

— Jestem panie człowiekiem uczciwym, nie żadnym szpiclem, szukaj pan równych sobie do takich interesów.

— Ależ i ja nie jestem szpiegiem — zaśmiał się Porwa — przeciwnie chcę szpiegów zrobić nieszkodliwymi. Mam pewność, że ci dwaj są szpiegami rządowymi, widziałem ich, jak ich płacił urzędnik rosyjski i chcę ostrzedz towarzyszów przed nimi.

Tyle szczerości i prawdy było w tonie tych słów i w wyrazie twarzy, że płatniczy zmiękł i mówił już innym głosem:

— Widzę, że pan uczciwy człowiek, może i prawdę pan mówi, ale szpiegować gości nie mogę i nie chcę.

— Ma pan słuszność, ale zrób mi pan tę grzeczność i pod jakimkolwiek, pozorem przyszlij pan tutaj tego ich znajomego sięgnął po portmonetkę.

— Tylko bez pieniędzy — odsunął rękę Porwy — jako Polak mogę to zrobić, bo wierzę panu....

Porwa uścisnął mu rękę, a po dobrej chwili wyszedł ów znajomy, do którego podszedł Porwa i rzekł:

— Przed chwilą powiedział pan, że wachmistrz aresztował kolejarzy... mam krewnych przy kolei i niepokoję się o nich.

— A na której kolei?

— Na Wiedeńskiej.

— Może pan być spokojny, aresztowano na Nadwiślańskiej.

— Dziękuję panu, a ci dwaj, z którymi siedziałem, to dobrzy znajomi pana?

— Na cóż ta wiadomość panu — spojrzał z nieufnością.

— Bo wydają mi się podejrzani.

— Hm... może i racya... są niewyraźni i zaciekawi wszystkiego. Obydwaj nastali niedawno,



— W takim razie daj pani trzy..., panowie wypiją?

ten z ciemnymi włosami nazywa się Szal, a ten blondyn Łazoń.

— Dziękuję... i pozwoli pan, że ostrzegę go, to są źli ludzie, mogą szkodzić...

— Panie, a czy wolno tak podejrzewać, bez żadnych dowodów — oburzył się.

— Mam dowody... i jeszcze raz ostrzegam, oni szpiegują strejk kolejowy.

— A pan skąd wie o strejku naszym?

— Bo i ja go robię.

— Kiedy pan nasz, to już wierzę.

Gdy Porwa przyszedł do Logiki, zastał już Wandę i w krótkich słowach opowiedziano mu jej przygodę.

— Towarzyszko, ostrzeżcie naszych, aby mieli się na baczności przed dwoma szpiegami: Szalem i Łazoniem, pracują na waszej kolei.

— Łazoń! — zawołała Wanda z tryumfem i zwracając się do Logiki, Bala i Koli, dodała — to jest nazwisko, którego zapomniałam... więc dobrze mówiono zwrotniczemu, że on zdradził... a wy skąd wiecie?

— Przechodząc Bielańską, spostrzegłem Gołubiewa, który oczekiwał na nich, dał im pieniądze... no i wyśledziłem, co oni zacz.

— Gołubiew?! — zdziwił się Kola — gdybym od was nie słyszał, nie uwierzyłbym.

— Debet jego rośnie — zaśmiał się Bal — i nie rozumiem Kola twego zdziwienia; mojem zdaniem on gotów do każdej podłości, byle był bezpieczny.

— Dziwiłem się — mówił Kola — bo szpiedzy nie wchodzą w jego zakres; widocznie uprawia sport na własną rękę. Teraz powinnyście, towarzyszko Wando, tem bardziej być na ostrożności, agitatorów surowo karzą.

— To mnie nic a nic nie przeraża — zaśmiała się — i jutro idę na zgromadzenie.

— Mam dziwną obawę, że was jutro pochwycą — zwrócił się Kola do Wandy, gdy inni rozmawiali o postępach agitacyi — nie idźcie jutro... tylko nie jutro.

— Nie mogę... przyrzekłam, a mają moi towarzysze się wsypać, niech i mnie wezmą... Nie wiedziałam, że jesteście przesądni.

— Nie byłem nim nigdy i tembardziej wierzę w moją obawę.

— Nic mi nie będzie — uśmiechnęła się i wmieszała do ogólnej rozmowy.

Nazajutrz przed trzecią godziną stawiła się Wanda w mieszkaniu zwrotniczego, a gdy znaleźli się sami, rzekła:

— Dowiedziałam się towarzyszu, że na kolei szpieguje prócz Łazonia także Szal, trzeba przestrzedz.

— O Łazoniu wiemy od wczoraj, ale były jeszcze wątpliwości... Szal szpieguje, tego nie spodziewaliśmy się... a wasza wiadomość pewna?

— Najpewniejsza.

— To już dobrze. Idźcież wy przodem, ulicą Kłopot ku szosie Marymonckiej, tam złączymy się.

Wanda wyszła, rozejrzała się a nie widząc nic podejrzanego, szła dalej, gdy do niej przystąpił jakiś człowiek i spytał z ukłonem:

— Nie może mi pani wskazać, gdzie jest ulica Pokorna?

— Nie wiem.

— Przepraszam panią.

Badawcze oczy pytającego zrobiły na Wandzie przykre wrażenie, a może to szpieg, błysnęło jej, obejrzała się ostrożnie. ale Szala, gdyż on ją pytał, chcąc się jej przyjrzeć, nie dostrzegła na ulicy i uspokojona poszła dalej.

To spotkanie Wandy dostrzegł jednak wychodzący z domu zwrotniczy i widział, jak Szal, nie oglądając się, poszedł w kierunku Bonifraterskiej. Obudziło się w nim głuche poczucie niebezpieczeństwa i postanowił przenieść zgromadzenie w inne miejsce.

Na Marymonckiej połączył się z Wandą a wypytawszy się jej, rzekł:

— Pokorna jest tuż obok i Szal ją zna, więc dlaczego was pytał?

— Więc to był Szal! — powiedziała zdziwiona — ma oczy szpiega, a pytał się, bo chciał mi się przyjrzeć.

— To możliwe — mówił zwrotniczy z namysłem — bo też często przychodzicie i w tej samej sukni... to wydało mu się podejrzanem.

Nie daleko za plantem kolei obwodowej, do szarej, małej kamieniczki weszli i zastali w mieszkaniu parterowem dosyć osób zebranych.

— Wiecie towarzysze — zaczął po chwili zwrotniczy — widzi mi się, że miejsce to nie jest bezpieczne... zmieńmy. Tu w sąsiedztwie mieszka kilku naszych.

— Co tam zmieniać — zawołał młody robotnik energicznym głosem — mamy tylko głosować na dwóch wyborców; znamy ich wszyscy. Najpierw obecni głosują i wyjdą, potem drudzy, a z przenosinami kłopot... a zresztą, co ma być, to i będzie.

— Prawdę mówi!... — odezwały się liczne głosy.

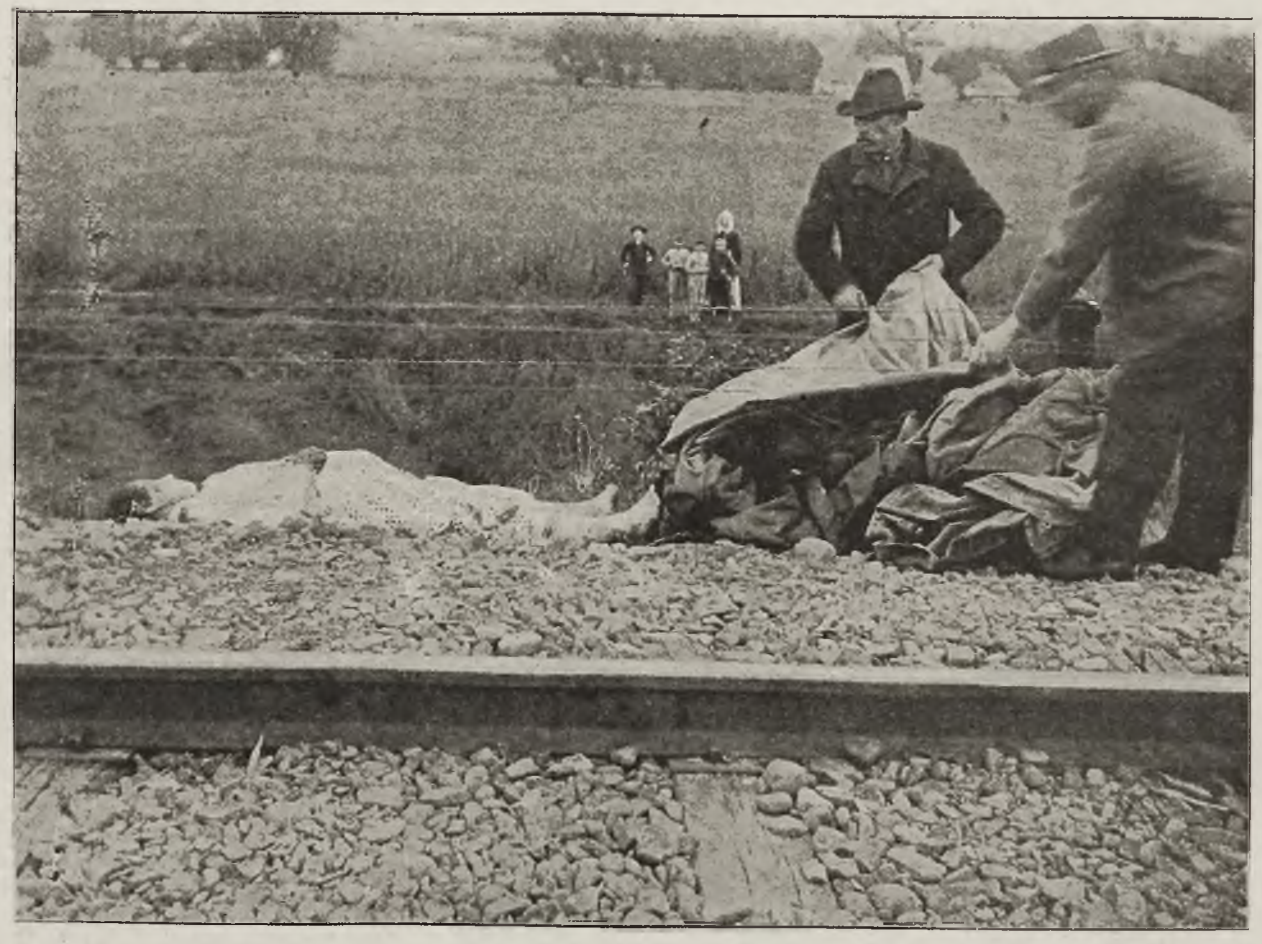
— Kiedy taka wasza wola, zostańmy, a ostrzegam was towarzysze przed Szalem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Pod kołami pociągu.

W pobliżu Dębicy, obok pierwszej budki przed stacyą kolejową, na torze głównego szlaku, zaszedł w ubiegłym tygodniu straszny wypadek, którego ofiarą padła kaleka, głuchoniema służąca. Oto wracała ona wieczorem z roboty w polu do domu, a dla skrócenia drogi postanowiła przejść torem. Równocześnie nadszedł w to miejsce pociąg pośpieszny, zdążający od Lwowa, maszynista zaś pociągu, zauważywszy kobietę na szynach, dał sygnał ostrzegający i zwolnił biegu. Głuchoniema dziewczyna nie dosłyszała sygnału, ujrzała natomiast znaki, jakie jej dawali robotnicy, znajdujący się w pobliżu. Cofnęła się więc instynktownie i chciała przejść na ciągnącą się obok toru ścieżynę. Miejsce to jednak było niemożliwe do przebycia, dziewczyna więc zwróciła się napowrót ku torowi i w tej chwili wpadła pod maszynę, której tłok uderzył ją w głowę tak silnie, iż spowodował jej śmierć na miejscu. Zwłoki ofiary tego strasznego wypadku leżały obok toru do następnego dnia, zanim przybyła komisya sądowo-lekarska.

Rycina nasza przedstawia właśnie ofiarę wypadku, leżącą obok toru kolejowego.



Pod kołami pociągu: Zwłoki służącej, zabitej pod Dębicą przez pociąg osobowy.

Echo okropnej zbrodni.

Przed dwoma miesiącami, w ostatnich dniach kwietnia br., spełnioną została w Kawiorach pod Krakowem okropna zbrodnia. Ofiarą jej padła młoda kobieta, Magdalena Rejzerowa, którą własny mąż, prawdopodobnie w porozumieniu ze swą kochanką Maryanną Kaczorowską vel Kaczor, w okrutny sposób zadusił a następnie wrzucił w nurty Rudawy.

Wedle wyników śledztwa, przeprowadzonego po wykryciu zbrodni przez władze sądowe, żyli Rejzerowie przez szereg lat w małżeństwie cicho i zgodnie. Dopiero od r. 1903, kiedy Rejzer na robotach w Niemczech poznał Kaczorównę i nawiązał z nią stosunek, pożycie małżeńskie Rejzerów zmieniło się gruntownie. W miejsce zgody wstąpiły kłótnie i swary, w miejsce miłości, nienawiść i wstręt. Rejzer, czuły i tkliwy dla kochanki, wobec żony stał się brutalem i niegodziwcem, bił ją bez powodów i katował, niejednokrotnie przytem odgrażając się, iż ją zabije. I groźbę swą spełnił...

Mętne, żółte fale Rudawy wyrzuciły rankiem 29 kwietnia br., tuż koło mostu za torem wyścigowym zwłoki kobiety, w której rozpoznano w czasie śledztwa Magdalenę Rejzerową. Nie w Rudawie ona jednak śmierć znalazła, nie cicha, spokojna woda tej rzeczułki ją życia pozbawiła. Padła ona ofiarą ludzkiej namiętności, padła ofiarą zbrodni. Świadczyły o tem znaki i uszkodzenia na szyi i rękach. Rozpoczęło się śledztwo, uwieńczone pomyślnym rezultatem. Winnym morderstwa był ślubny mąż ofiary, Wawrzyniec Rejzer. Do czynu sam się przyznał, opowiadając mianowicie, iż krytycznej nocy, gdy spał w stajni, uczuł kilkakrotne potrącenie; ocknąwszy się zauważył, iż jakaś kobieta bije go postronkiem od chomąt. Bezwiednie chwycił ręką ów postronek, który widocznie zahaczył się za szyję kobiety, i szarpnął nim. Wówczas kobieta owa upadła na ziemię, charcząc przeraźliwie. Przerażony tym wypadkiem, Rejzer podniósł leżącą a w przypuszczeniu, że zimna woda ją ocuci, zaniósł na plecach nad brzeg Rudawy i wrzucił do wody. Dopiero w drodze też poznał w owej kobiecie własną żonę. Naiwne to tłómaczenie nie mogło oczywiście znaleść wiary ani u sędziego śledczego, ani u prokuratora; oskarżono go tedy o zbrodnię morderstwa a jako współwinna zasiadła obok niego na ławie oskarżonych jego kochanka, Maryanna Kaczorówna.

Dwa miesiące upłynęły od owej chwili, mogiła ś. p. Magdaleny porosła wysoko trawą i polnemi kwiatami a krwawy mord w Kawiorach poszedł zwolna w niepamięć. Wspomnienie tego wypadku ozwało się echem dopiero w ubiegłym tygodniu, wskutek rozprawy przed sądem przysięgłych prze-



Aparatem redakcyjnym fot. W. Lis.

Echo okropnej zbrodni: Trybunał sądowy, ława przysięgłych, prokurator i obrońcy podczas wizyi lokalnej w Kawiorach. 1. Przewodniczący radca Raczyński; 2. Radca Kopf; 3. Radca Kraus; 4. Prokurator dr. Gruszczyński.

ciw małżonkowi-mordercy i jego kochance. Przez trzy dni rozpatrywała ława przysięgłych, pod przewodnictwem radcy Raczyńskiego, winę podsądnych. Z całą sumiennością badano wszystkie okoliczności, przemawiające za i przeciw oskarżonym, udano się



Aparatem redakcyjnym fot. W. Lis.

Echo okropnej zbrodni: Przesłuchanie oskarżonego Rejzera na miejscu czynu nad Rudawą w Kawiorach wobec trybunału i przysięgłych.

nawet na miejsce czynu i tam naocznie badano, o ile zeznania podsądnych oraz świadków odpowiadały rzeczywistości. W piątek wieczór wreszcie wydali sędziowie przysięgli werdykt, którym — mimo znakomitych wywodów obrońcy osk. Rejzera, dra Przeworskiego — uznali Rejzera winnym zbrodni morderstwa a Kaczorównę współwinną tej zbrodni. Na podstawie tego werdyktu skazał trybunał Rejzera na karę śmierci przez powieszenie a Kaczorównę na 10 lat więzienia.

* * *

W uzupełnieniu tego artykułu zamieszczamy w dzisiejszym numerze trzy zdjęcia, z których jedno przedstawia oboje oskarżonych na tle domu, w którym mord został spełniony, drugie trybunał sądowy, prokuratora i obrońców w otoczeniu ławy przysięgłych, trzecie wreszcie przesłuchanie osk. Rejzera wobec trybunału i przysięgłych nad rzeczką Rudawą podczas wizyi lokalnej.

Pożoga.

Straszna klęska nawiedziła przed paru tygodniami małą podolską mieścinę, Skałę nad Zbruczem, majętność byłego ministra spraw zagranicznych Agenora hr. Gołuchowskiego. Wybuchł tam w czasie silnego wichru pożar i objąwszy w krótkim czasie ogromną przestrzeń, zniszczył i w perzynę obrócił całą połać miasta. Ofiarą niszczącej pożogi padło przeszło 100 domów mieszkalnych, a około 400 budynków gospodarskich, przez co 120 rodzin, a z górą tysiąc ludzi pozbawionych zostało mienia, dobytku i dachu.

Nie na tem koniec klęski. Oto w czasie katastrofy troje ludzi życie straciło a kilkadziesiąt odniosło ciężkie poparzenie. Spłonęły wszystkie sprzęty domowe i gospodarskie, spłonęły zapasy żywności, zboże i pasza; kilkadziesiąt sztuk bydła i trzody chlewnej, mnóstwo drobiu, drzewa owocowe, warzywa w ogrodach — wszystko to zniszczało, wszystko w przeciągu kilku godzin poszło z dymem!...

I dziś Skała, miasto dotąd jedno z najlepiej zagospodarowanych, przedstawia smutny i ponury obraz nędzy i rozpaczy; zniknęły schludne, malowniczo rozłożone w pięknej okolicy domki, zostały tylko oczerniałe mury, zgliszcza żałosne i wysokie kominy, sterczące ku niebu, jako niema skarga, jako wyraz rozpaczy i żalu nieszczęśliwych pogorzelców.

W czasie owego pożaru spłonęła znaczna część przedmieścia „Zapotocze“ i „Stara Skała“, gdzie mieszkała przeważnie ludność rolnicza. Straty ogromne, dochodzą 2 milionów koron. Celem niesienia pomocy dotkniętym tą klęską mieszkańcom, zawiązał się niezwłocznie komitet ratunkowy pod przewodnictwem ks. Aleksandra Lewickiego i ogłosił odezwę, wzywającą serca litościwe do składek na rzecz nieszczęśliwych.

W numerze dzisiejszym zamieszczamy zdjęcie fotograficzne, przedstawiające część Skały, zniszczoną przez ostatnią pożogę.

Ręce do góry!...

Stosunki, jakie panują teraz w Królestwie, są tego rodzaju, że urągają najprostszym pojęciom o bezpieczeństwie. Nawet słynne swego czasu Włochy nie mogą iść w zawody z Kongresówką, gdzie nikt nie jest pewien ani swego życia, ani mienia i gdzie zuchwałość bandytów przekroczyła wszelkie granice.

Okrzyk: „Ręce do góry!“ powtarza się tam tak często, że wreszcie społeczeństwo musiało pomyśleć o samoobronie. I tak: instytucye finansowe, które bywają najwięcej narażone na napady bandytów, postanowiły przeciw nim się ochronić. Uzbroiły one tedy za zezwoleniem władzy swych urzędników — a szczególniej kasyerów w rewolwery.

Rycina, zamieszczona w dzisiejszym numerze, przedstawia kilku pracowników jednej z większych instytucyj finansowych warszawskich — pod bronią...

Teraz, gdyby przyszło do tego, że bandytom zachciałoby się w zwykły sposób rzucić na jedną z takich instytucyj, to spotkają się z odpowiedniem przyjęciem. Społeczeństwo bowiem przyszło do tego punktu determinacyi, że nie może dłużej pozwolić na terror, wykonywany nie w imię jakiejś idei, lecz dla prostego rabunku.



Fot. aparatem redakcyjnym W. Lis.

Echo okropnej zbrodni: Oskarżeni o zamordowanie Rejzerowej: Wawrzyniec Rejzer i jego kochanka Maryanna Kaczorówna, przed domem w Kawiorach, gdzie zbrodnię popełnili.

Prawdopodobnie to proste zarządzenie wpłynie na to, że stosunki bezpieczeństwa w Królestwie zmienią się na korzyść, bo bandyci może nie będą tak śmieli, skoro spokojni obywatele przyjmą ich odpowiednio: z rewolwerami.

Wielkie wyścigi automobilowe.

Ostatnimi czasy samochody wzięły stanowczo rekord nad wszelkimi innymi środkami przenoszenia się z miejsca na miejsce. Wprawdzie należą one jeszcze do bardzo drogich wehikułów, ale można spodziewać się, że z biegiem czasu cena ich się obniży, a wtedy staną się dostępnymi dla daleko szerszych warstw ludności, niż dotąd. Przestawszy być przedmiotami czystego sportu i zbytku, automobile będą niezawodnie wielce użyteczne, jako środek do przewożenia towarów i ludzi, a wtedy uczynią kolejom żelaznym bardzo poważną konkurencyę.

Na razie jednak automobilizm jest w stadyum prób, które odbywają się szczególniej na terenie wielkich co do przestrzeni wyścigów, szczególniej we Francyi i w Niemczech.

W ubiegłym tygodniu rozegrał się jeden z takich interesujących wyścigów o nagrodę prof. Herkomera w Niemczech. Brało w nim udział 166 uczestników, a wśród nich jeden Polak, inżynier Emil Retinger z Krakowa. Wyścig miał niemałą metę, bo 1841 klm. i prowadził po miejscami bardzo trudnym, górzystym terenie i po drogach o ostrych krzywiznach z Drezna przez Eisenach, Mannheim, Lindau, Monachium i Augsburg do Frankfurtu nad Menem.

Niestety nie obyło się i tym razem bez rozmaitych nieszczęśliwych wypadków, spowodowanych tem głównie, że mało doświadczeni niektórzy kierownicy wozów, starali się szybkością, przechodzącą normalne granice, zwalczyć swych konkurentów.

Tymczasem wyścig, o którym mowa, polegał nietylko na samej szybkości, ale także na tem, aby wozy i kierownicy ich przybyli w możliwie dobrej „kondycyi“ do celu.

Na podstawie właśnie tego cenzusu otrzymał pierwszą nagrodę Edgar Ladenburg z Monachium na automobilu firmy Benz, który już przed dwoma laty był ją wygrał.

* * *

W dzisiejszym numerze naszego pisma podajemy podobizny zarówno zwycięscy, jakoteż naszego rodaka, który otrzymał poczesne miejsce w wyścigu, sterując wozem o sile 45 koni, pochodzącym z fabryki Scheiblerów w Akwizgranie, znanej z tego, że wyrabia automobile przydatne do wyścigów na wielką odległość i po terenie nierównym. Przedewszystkiem zaś tego rodzaju automobile mają przed sobą przyszłość, bo odpowiadają trndnym warunkom, jakie każda dłuższa droga przedstawia.



Fot. L. Grosse w Skale.

Pożoga: Widok Skały nad Zbruczem, zniszczonej straszną pożogą.



Ręce do góry: Urzędnicy uzbrojeni w rewolwery na wypadek napaści bandytów.

Zamordowanie narzeczonej.

Wiadomą jest i stwierdzoną wielu przykładami rzeczą, że miłość, to wielkie, święte uczucie, zdolne jest zachęcić człowieka do czynów prawdziwie bohaterskich, do poświęcenia choćby i życia własnego, ale też i do zbrodni najstraszniejszej, zwłaszcza gdy się doń przyłączy zazdrość.

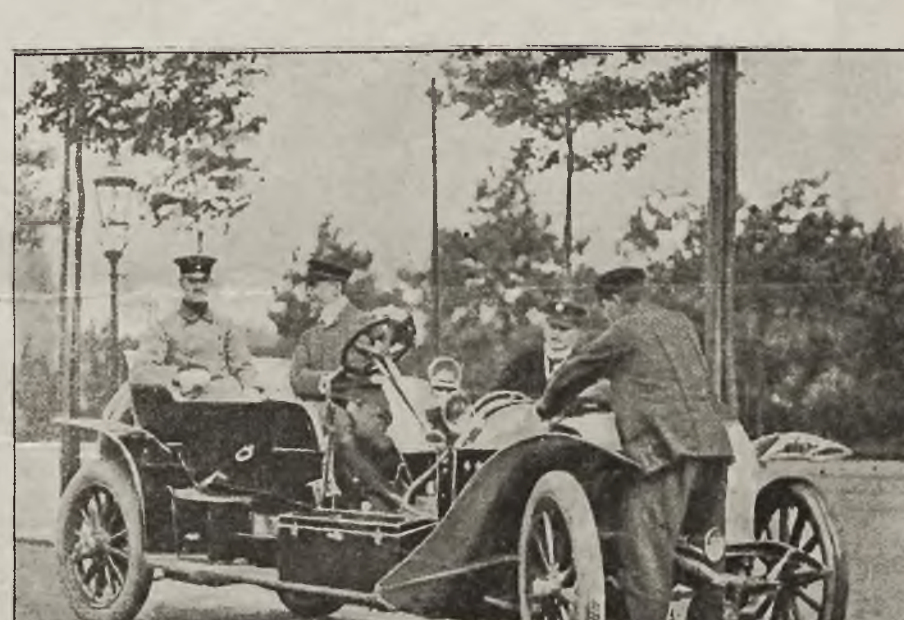
Świeżym przykładem tego może być wypadek, który zaszedł niedawno we wsi Czahorze pod Czerniowcami na Bukowinie. Oto młody, 22-letni parobek tamtejszy, Piotr Nika, zakochał się namiętnie w 18-letniej Weronice Ungurian, a że piękna dziewczyna była mu wzajemną, więc postanowili się pobrać. Termin ślubu naznaczyli na dzień 16 czerwca.

Im bliżej było do umówionego terminu, tem gorętszem pałał ku swej narzeczonej uczuciem młody Piotr. Bolało go też niezmiernie, że jego ubóstwiana nie spieszyła się jakoś do małżeństwa a nawet w ostatnich tygodniach chciała odroczenia ślubu. Podobno szło jej o to, by od skąpych rodziców wytargować dla siebie większy posag. Dla rozkochanego, namiętnego Piotra powód taki wydawał się zbyt błahym. Począł więc swą narzeczoną podejrzywać, iż ona ociąga się z innych powodów, że może ma upatrzoną inną, lepszą partyę. I im bliższym był termin ślubu, tem bardziej wzmagała się zazdrość Piotra.

Zdarzyło się, że na kilka zaledwie dni przed terminem ślubu oboje narzeczeni byli razem w polu



Wielkie wyścigi automobilowe: Inżynier Emil Retinger z Krakowa.



Wielkie wyścigi automobilowe: Zwycięsca w wyścigu o nagrodę prof. Herkomera, Edgar Ladenburg, z Monachium.

przy robocie. Rozmowa między nimi zeszła oczywiście na kwestyę bliskiego związku. W ciągu rozmowy oświadczyła Weronika, iż stanowczo nie chce, aby ślub ich odbył się już 16 czerwca. Rozżalony tem Piotr, próbował ukochaną ciepłemi słowy i prośbami i zaklęciami nakłonić do nstąpienia. Daremnie jednak. Upór ten wprawił Piotra w istny szał. Porwał leżącą obok sapę i ugodził nią w głowę Weronikę. Cios był silny i dobrze wymierzony. Biedna dziewczyna padła na ziemię bez życia.

Wieść o okropnej zbrodni rozeszła się wnet po wsi, przybyła na miejsce komisya sądowo-lekarska, a Nika sam oddał się w ręce sprawiedliwości. Za czyn swój spotka się on niewątpliwie z surową karą.

Obok zamieszczamy zdjęcie fotograficzne, przedstawiające pole, gdzie rozegrała się krwawa tragedya; na ścieżce, wiodącej przez pole, widać zwłoki Weroniki Ungurian.



Zamordowanie narzeczonej: Zwłoki Weroniki Ungaurian, (X) zamordowanej przez narzeczonego, leżące na polnej ścieżce.

Dla ochrony przed bandytami.

Cały szereg napadów bandyckich, dokonanych w ostatnich czasach na urzędy pocztowe w Warszawie, skłonił naczelnika głównego urzędu poczt i telegrafów okręgu warszawskiego do wydania rozporządzenia, iż do biura pocztowego, w którem znajdują się kasy z pieniądzmi, może wejść jednocześnie najwyżej czteru mężczyzn. Kobiety w tym wypadku nie są brane w rachubę.

Celem wprowadzenia w wykonanie tego rozporządzenia ustawiono przed drzwiami niektórych oddziałów pocztowych metalowe turnikiety. Gdzie owych turnikietów jeszcze nie ma, tam rolę ich pełnią szeregowcy z karabinami, dopuszczający do wnętrza urzędu tylko przepisaną liczbę interesantów. Przy większym ich napływie, tworzą się na ulicy przed biurem pocztowem całe węże publiczności, a długość tych węży dochodzi nieraz kilkudziesięciu kroków.

Rycina nasza przedstawia właśnie takiego węża przed filią pocztową na pl. Krasińskich.



Aparatem redakcyjnym fot. W. Lis.

Krajowy Związek turystyczny: Wydział Kraj. Związku turystycznego, obradujący w biurze radcy dworu Horoszkiewicza; 1. J. E. Antoni br. Wodzicki, prezes; 2. Radca dworu Horoszkiewicz; 3. Wiceprezydent m. Chyliński; 4. Radca dr. Muczkowski; 5. Skarbnik Związku E. Jaxa Chronowski; 6. Radca Judelewicz; 7. Inspektor dr. Starzewski; 8. Red. Hopcas; 9. Delegat Tow. tatrzańskiego dr. Krygowski; 10. Komisarz pow. p. Mięsowicz, del. namiestnictwa; 11. Sekretarz Związku Rosner.

Niezwykła zbrodnia.

POWIEŚĆ KRYMINALNA

przez **Goron'a**, byłego szefa bezpieczeństwa w Paryżu.

Tłómaczyła z francuskiego Marya S.

12 (Ciąg dalszy).

Jerzy d'Armoy rozgorączkowany, podniecony, podchwycił temat i wystąpił z gorącymi argumentami. Noileau spokojnie, ale z wyrzutem przywrócił go do upamiętania.

Rozmowa, zręcznie przez sędziego prowadzona, po chwili przeszła znowu na inny przedmiot, gdy nagle Alicya, wspaniała blondynka o czarnych oczach, z wyrazem energii na bladej jak wosk twarzy, zawołała żywo:

— Proszę mi wybaczyć, jeżeli mieszam się do tej sprawy, ale sądzę, że przysługuje mi pewne prawo. Ileż ja wycierpiałam przez tego pana Germonpré! Dzięki temu nędznikowi ojciec mój o mało nie stracił honoru!...

Urwała; oczy jej szeroko otwarte, prawie nieprzytomne, goniły jakieś straszne widzenie.

— Przez niego to — kończyła przytłumionym głosem — mój biedny ojciec o mało nie skończył na gilotynie... przez niego o mało nie umarłam! O, jakże ja go nienawidzę!

Wypowiedziała te słowa z takiem szczerem przejęciem, pogardą i wzruszeniem, że wszyscy obecni zadrżeli.

— On teraz sam dźwiga swoją hańbę, swój los i o ileż jest szczęśliwszy! Nie ma dzieci, które rozpaczają i któremi każdy pogardza! On w swoją hańbę nie pociąga nikogo za sobą! Tak! czy to nie jest prawdą? Ten dziki zwierz cierpi samotny! Nie ma komu litować się nad nim! Potwór został ukarany za swoją podłość. Cierpi przez prawo odwetu, to słuszne, to sprawiedliwe! Ale gdyby się okazało, że on jest niewinny tej ostatniej zbrodni? Jeżeli cierpiał za innego? i miał wycierpieć do końca niezasłużoną karę, to byłoby straszne. Ja nie nad nim się lituję, gdy myślę o tem, ale nad panem, panie sędzio, nad panem!

Dnia tego sędzia Noileau powrócił wcześniej do domu i położył się zaraz. Miał silną migrenę. A więc nikt nie wierzył w winę oskarżonego, nikt, nawet córka człowieka, któremu on zadał tyle męczarni, która go nienawidziła z głębi duszy! A więc dobrze! Niech ci wszyscy szaleńcy, głoszący niewinność Germonpré'a, obejmą rolę sędziego śledczego, a sam z chęcią się usunie! Niech sądzą. Wyrobić w sobie pewność, nie jest rzeczą tak trudną; ale trzeba ją poprzeć dowodami.

Dowodami? Co? Więc jeszcze i zawsze to słowo wracać będzie?

Do dyabła! To jasne przecie. Gdybym ja miał te dowody, nie czekałbym na sąd i uwagi tych ludzi. Czyż mógł uwolnić człowieka, na którym ciążyło tak straszne oskarżenie? Przypuśćmy, że powód, cel zbrodni nie istniał, ale były fakta, okropne, realne, brutalne fakta!

Gdyby on tak postąpił, jak sam w głębi duszy pragnął, dopieroby krzyk powstał! Dlaczego ta młoda dziewczyna powiedziała, że w przeciwnym wypadku litowanoby się nad nim?

Pomyłka sądowa?! Niewinny ma być zasądzony na ciężkie roboty, lub ginąć na rusztowaniu? Z jego winy może? Oh, nie! nigdy, nigdy! On do tego nie dopuści!

Dlatego to przecież prowadzi tak drobiazgowo, tak pracowicie to śledztwo, nie pomijając najdrobniejszej okoliczności, najmniej znaczącego faktu!...

ROZDZIAŁ XII.

„Podwójna Nitka“ oddaje dzielne usługi.

„Podwójna Nitka“ zajmował się czasami dostarczaniem wiadomości i niektórych objaśnień organom policyi, z wyjątkiem tych dni, w których za drobne kradzieże znikał z horyzontu. I trzeba mu przyznać, że oddawał te cenne usługi z zamiłowaniem i niezwykłą sumiennością.

Znając wybornie „zacne stowarzyszenie złodziejskie“, którego on był honorowym członkiem, stawał się bardzo użytecznym.

Usługi te, oprócz kilku sztuk srebra, któremi go obdarzano, wyrabiały mu pomiędzy urzędnikami policyi pewną pobłażliwość i wyrozumiałość na jego własne sprawki, ma się rozumieć, o ile nie przekraczał pewnych granic.

Pewnego dnia obarczono go trudną i delikatną misyą. Ku ogólnemu zdziwieniu „Podwójna Nitka“, zwykle bardzo skrupulatny, słowny, nie stawił się z odpowiedzią w dniu oznaczonym. Zaniepokojono się i kazano za nim czynić poszukiwania.

Dowiedziano się przypadkowo, że „Podwójna Nitka“ w jakiejś bójce został silnie poturbowany, tak że był zmuszony uciekać z placu boju. Była to rzecz przykra dla niego, ale jeszcze przykrzejsza dla p. Cardec, który właśnie niecierpliwie oczekiwał obiecanych objaśnień.

Wieczorem tego samego dnia „Podwójna Nitka“ nadszedł w chwili, gdy szef już miał biuro opuszczać. Jednym tchem, z widocznym wysiłkiem, sapiąc i dysząc, zdał swój raport. Wyglądał okropnie.

Nos zgnieciony, urągający wszelkim regułom symetryi, skręcił się melancholijnie ku lewej stronie twarzy, szczękę opadniętą, w której brak było kilku zębów, podtrzymywała jedynie czarna opaska; jedno oko ginęło formalnie pod okropuem czarnem napuchnięciem, drugie zaś, krwią nabiegłe, czyniło wrażenie, że lada chwila wyskoczy z głowy. Przy tem jeszcze lewa ręka zwisała bezwładnie na temblaku, a na całej twarzy i głowie widniały sińce i podrapania.

Zapytany odpowiedział, że przyjechał dorożką, bo obawiał się, aby go na ulicy za zbója lub złodzieja nie wzięto, a poczciwy dorożkarz, usłyszawszy adres, dokąd się zawieść kazał, zaciął czemprędzej konia i przynaglił do prędszego biegu. Do szefa kazał się prowadzić policyantowi, bo nic przed sobą nie widział i nie mógł wydrapać się na schody. Wkońcu opowiadanie skończyło się na tem, że cała ta wyprawa kosztowała go kilka franków, które, ma nadzieję, zostaną mu zwrócone.

— Co do powodu bójki, to lepiej niech się pan szef nie pyta, bo on nic nie może powiedzieć.

Zdziwił się bardzo p. Cardec, co znaczyło to zamilczenie o fakcie, który w jego zawodzie wydarzał się dość często? Coś innego więc kryło się pod tem. Pan Cardec zaczął nalegać, żądając wytłómaczenia, potem zgniewał się, a w końcu zagroził.

„Podwójna Nitka“ siedział na krześle, które mu podsunął sam szef, zdjęty litością na widok tej kupy zbitego i skrwawionego ciała i drżał okropnie. Widocznie był pod silnem wrażeniem strachu.

— Mój Boże — jęknął — widzę, że panu szefowi zależy, ażebym się przeniósł do wieczności w kwiecie wieku.

— Co ty wygadujesz? Dlaczego masz umierać? Wytłómacz się.

— Ja nie blaguję. Mogę przysiądz, że mówię prawdę! On mi to obiecał, a jak on obieca, to już zrobione.

— Co za on? Jaki on?

— Nie powiem! Mnie reszta kości jeszcze jest miła!

— No stary, gadasz, czy nie?

„Podwójna Nitka“ milczał. Cardec zrozumiał, że surowością nic nie uzyska. Trzeba było użyć innej taktyki.

— Wiesz, że mnie to dziwi. Taki zuch, jak ty i dałeś się wziąć?

— Et, co tu gadać! Z takim niema żartów. To szło na dobre!

— Niemasz się czego bać. Wiesz, że cię każę pilnować.

— Aha! żeby jego w ręce dostać. Niema co sobie głowy psuć. Jego nie złapią, a ja skórą odpowiem! Ah, gdybym tak był pewny, że będę miał pieniądze w razie kawału...

— Bądź spokojny, będziesz je miał.

— Tak? a jak przedtem kopyta wyciągnę!... A to łajdak! Nic mu nie zrobić nie można. Zwykła bójka. Ale gdybym tak był pewny...

— Jeszcze wracasz do tego samego?

— Że nie zaryzykuję skóry.

— Niema o czem mówić!

— Oj, wartaby gra była świeczki.

— Tembardziej więc. Będziesz raz na zawsze od niego uwolniony.

— Dobrze! A jak go przycapią a on nogę urządzi, jak zwykle?

— Czy ty skończysz nareszcie? Gadaj zaraz Jak się on nazywa?

— Panie komisarzu! Nie chciałbym pana cyganić. Ja za nic nie ręczę. Wiem tylko, że w Mares, gdzie go poznałem, nazywali go Gantrin; był jeszcze bardzo młodym chłopcem. Gdy go odnalazłem dwa lata temu, to już będzie sześć lat od poznania, właśnie dopiero co urządził był drapaka na świeże powietrze i wybierał się za granicę. Wtedy był jeszcze porządnym chłopcem. Lubiał trochę oglądać cudze kieszenie, ale przez ciekawość, ale nie rozbijał jeszcze imbryków... I wtedy jeszcze nazywał się Gantrin. Teraz to już zmienił nazwisko.

— A czemże się teraz zajmuje?

— Różnymi interesami i fałszerstwami, oszustwami, a przytem, zdaje się, że się nie krępuje, jak mu ktoś na drodze zawadza. Ale przytem bydlę jest, bo nie powinien korzystać z tego, że silny i towarzyszy naznaczać. No, ale ja mu też nie żałowałem, miał jedno znamię, będzie miał teraz, dzięki mnie, dwa. Teraz to się już łajdak nie zagubi!

Szef bezpieczeństwa słuchał w milczeniu, cierpliwie i uważnie, nie przerywając. Był to najlepszy sposób wyciągnięcia czegoś z niego. Jednakże na ostatnie słowa „Podwójnej Nitki“ aż podskoczył na krześle ze zdziwienia. Już od chwili zaciekawiony był bardzo opowiadaniem włóczęgi.

— Ah, to on miał znamię? — zapytał.

— Pod okiem; ktoś go porządnie trącił, ale to stary kawałek jeszcze. Przy mojem, to tamto wygląda, jak podrapanie igłą. No i do tego fajnie mu gębę szpeci.

— A więc ty?...

— Cóż miałem robić? Czekać, aż duszę ze mnie wypuści? Ja się broniłem... Wyciągnąłem nożyk i w chwili, gdy się on nachylił, żeby mnie potrącić, ja mu ładnie nożykiem rozjechałem nos i ślepie! Było co widzieć. Ale ja tam długo nie czekałem, tylko wziąłem nogi za pas i dałem drapaka. On nic nie widział!... Oh! żeby nie to, byłby mnie ten hycel bez paszportu przeprawił już na tamten świat!... Kanalia podła!... Ale mu dogodziłem!...

Nie było wątpliwości! Musiał to być nieuchwytny Gruby Ludwik. Jeszcze nie był w rękach, ale po śladach dojdzie się do niego. A wtedy już rzecz policyi, aby wyśpiewał, co wie. Więc znowu czysty przypadek dopomógł.

— Mów dalej — odezwał się po chwili Cardec — bo nie wiem właściwie, jakim się to sposobem stało.

— Ano tak było; poszedłem według rozkazu pana szefa podpatrzeć tego ptaszka, co to pan wie, w jego gniazdku...

— Dobrze, dobrze, tylko krócej!

— To buda przy ul. Bolivar... Gdy wtem na rogu ul. Secretan wdepnąłem na jakiegoś pasażera, dobrze ubranego. Było coś koło dziewiątej wieczorem, a ja byłem lekko zawiany. Zwracam uwagę obywatela, że przecież nie jest wieżą Eifel i mógłby z drogi porządnemu człowiekowi ustąpić. On na to nic. Już miałem mu pięść pod nos podsunąć, gdy wtem patrzę... przecież to stara znajomość. Zawołałem więc: „Hej! Gantrin, jak się masz, stary?“ Skoczył z początku, jakby go tysiąc pcheł ugryzło i odpowiada mi spokojnie:

— Mylisz się mój zuchu, bierzesz mnie za kogo innego.

Ale nie mnie tumanić! Jego to głos był i jego facyata. Ja się rzadko mylę! Poznaję swoich parafian. Nie pomogło wygolenie gęby, aż się świeciła, ani gęste, czarne brwi, ani włosy długie, zaczesane aż po oczy. To był Gantrin, na honor mej prababki. Wtedy w Mares to był blondynem niby, trochę ciemniejszy...

— To więc szatyn?

— Tak, szatyn. I nosił długie wąsiska, jak ogon krowi. Potem, gdym go widział, wychodzącego z Poissy... nie z Melun, był zawsze jeszcze taki sam. I nagle, bez przyczyny, stałby się czarny, jak murzyn? Nie mnie brać na kawał, do stu dyabłów! Wtedy ja z góry:

— Aha, to ty się wypierasz towarzystwa? Miły z ciebie ananas, bratku! Dlatego, że u mnie bryndza? że objąłem na razie posadę dyrektora świeżego powietrza?... O! to mi się nie podoba!... Myślisz durniu, że ja od ciebie co potrzebuję? Zafunduj kieliszek, zobaczysz, czy przyjmę. Widzicie go, pan!

Zamknął buzię i wywalonemi ślepiami wpatrzył się w swoje lakierowane buty i idzie sobie najspokojniej ul. Bolivar, nic sobie ze mnie nie robiąc. A nawet roześmiał się na całe gardło. Ale, jak powiedziałem panu, byłem trochę trącony. Podchodzę do niego i mówię, jak przystało na porządnego chłopa, że go widziałem zimową porą koło kościoła Notre-Dame, ale go nie zaczepiłem wtedy, bo miałem „robotę“. Tak, przypominam sobie dobrze. To było w dniu tego morderstwa na ul. Clichy. Szliśmy właśnie z „Brzoskwinią“ na rozkaz pański do Morgue... „Brzoskwinia“ biegł przodem. Był ptaszek ubrany jak jaki książę, w wspaniałem futrze. Tylko sobie nie przypominam, czy był wygolony. Poznałem go po oku, któremu coś braku-

je. Niby zezuje, ale to nie jest to. Trzeba widzieć. A przytem robi od czasu do czasu taką straszną minę, że sam dyabełby się przeląkł. Niema co, ja go zawsze poznam! No i wtedy tak sobie rozmawiając, zeszliśmy na teren trochę niebezpieczny... a on wtedy zdrajca, bez ostrzeżenia, bez słowa, jak mnie nie lunie... Święci Pańscy, tego mi trzeba było! Ale mnie zwalił, że mi się prababka przyśniła! Już nieraz mnie „obracali“, ale czegoś podobnego nie pamiętam! A on mruczał sobie:

— Poczekaj ty świńska nogo, już ja ci się przysłużę — i dalej do mnie.

Ja wtedy walę mu prosto do ślepiów i krzyczę:

— Toś ty taki, kajdaniarzu? To ty tak gadasz z porządnym towarzyszem? i walę na oślep, gdzie się trafi.

Ah, niech go choroba! Twarde miał szelma pięści. To było coś strasznego! Myślałem, że już po mnie i już zacząłem się modlić do patrona poturbowanych nędzarzy. Razy jak grad spadały na mój łeb! Źle było. Wtedy to rozwścieklony wyjąłem nożyk i poczęstowałem bratka. A, żeby pan komisarz widział, jak on wyglądał! Futerko na nim zdarte, kołnierz od żakietu oderwany!... Ha! Ha!...

— No i cóż się dalej stało?

— Wtedy dwa jakieś pędraki wyszły z domu. Ja dałem nogę co tchu i wpadłem do „przyjaciółki“, którą mam w tej dzielnicy i która mnie trochę przyprowadziła do porządku.

Całe to opowiadanie było przerywane co chwila. Szczęka skrwawiona i rozdarta nie pozwalała mu mówić. Ale w końcu przy pomocy gestów, zdołał sprawę jako tako wytłómaczyć szefowi.

„Podwójna Nitka“, obdarzony dwoma pięciofrankówkami i otrzymawszy oprócz tego od pana Cardec wyłożone pieniądze „na wydatki“, został odprowadzony do szpitala na leczenie. Szef zaś bezpieczeństwa zabrał się natychmiast do dzieła. Teraz robota pójdzie gładko. W tej chwili dano znać po stacyach kolejowych, po portach, po granicach.

Było nieprawdopodobne, by Gruby Ludwik, zeszpecony i naznaczony w tak okropny sposób, ośmielił się pokazywać publicznie. Ale ostrożność nie zawadzi!

Nazajutrz odnaleziono dzieci, które były świadkami bójki. Opowiedziały, że widziały, jak jeden z bijących się pobiegł na róg ulicy i wskoczył do przejeżdżającej dorożki. Dorożkarz zapytany zeznał, że człowiek, skacząc do jego powozu, powiedział, że został napadnięty i prosił, żeby go prędko zawiózł pod kościół św. Magdaleny.

Przybył jeszcze do tych szczegółów raport ajenta, pełniącego służbę w dzielnicy św. Magdaleny.

Zauważył on w ten wieczór człowieka zakrwawionego, w podartem ubraniu, w kapeluszu pogniecionym, wyskakującego z dorożki nie przed kamienicą, ale pod bramą kościoła, co wydało mu się trochę podejrzanem. Nieznajomy, rozejrzawszy się wokoło i nie dostrzegłszy ajenta, przebiegł szybko bulwary i skręcił, ciągle przez ajenta śledzony, do pewnego domu na ulicy Capucines. Numer domu był ajentowi wiadomy. Nieznajomy człowiek już więcej z tego domu nie wyszedł. Do tego raportu dołączone było sprawozdanie komisarza z tej dzielnicy. Zaraz rano uczyniono dyskretną ankietę, która wykazała, że człowiek ranny był inżynierem hiszpańskim, mieszkającym już w tym domu od trzech miesięcy przeszło, że zeznał, iż był ofiarą przypadku, a właściwie sam sprowokował napaść i nie myśli sprawy tej więcej poruszać.

Pomimo, iż rzecz miała cechy wszelkiego prawdopodobieńswa, pan Cardec kazał śledzić owego cudzoziemca. Ah, więc nareszcie miano go w rękach!... Nareszcie ta zagadka rozwiązaną zostanie!...

Jaminotowi polecono sprawę. Nie posiadał się z radości. Jednakże na jego radość padał pewien cień. Więc on sobie tyle trudu zadał napróżno, po to, by teraz jego przełożony, bez jego pomocy zwąchał prawdę?

Mając w kieszeni rozkaz aresztowania Gantrin'a, Jaminot puścił się w drogę, ale tym razem w towarzystwie. Ten ptaszek był zanadto niebezpieczny!

Komisarz z dzielnicy św. Magdaleny, były sekretarz pana Cardec, był na pogotowiu w swojem biurze. Gdy już dochodził do kamienicy, w której mieszkał ów niby inżynier hiszpański, Jaminot poszedł naprzód wybadać teren. Powrócił po chwili, klnąc jak dragon. Ptaszka już nie było w gniazdku!

Lecz Jaminot uspokoił się wkrótce, gdy ajent, postawiony przy drzwiach domu przez komisarza, a przebrany za posłańca publicznego, dopełnił udzielonej mu na wstępie wiadomości.

— Filut z dwoma wielkimi kuframi wsiadł był przed chwilą do dorożki, podając adres dworca północnego. Ja zaś — mówił ajent — uczepiłem się tyłu powozu. W parę minut mniemany inżynier wychylił się i zawołał do dorożkarza:

— Pomyliłem się. Do „Orleanes“.

Wiadomość ta była dostateczna. Wszyscy pospiesznie udali się na dworzec. Na szczęście komisarze na dworcach byli już uwiadomieni. Nie sposób, aby się ptaszek wymknął niepostrzeżenie.

Gdy Jaminot przybył na miejsce, człowiek poszukiwany odchodził od kasy, trzymając w jednej ręce bilet I. kl., drugą zaś pakował do kieszeni garść drobnych pieniędzy, kierując się ku ekspedycyi bagaży. Dwóch panów, elegancko ubranych, rozmawiało swobodnie, idąc tuż za nim.

Zobaczywszy ajenta, odeszli trochę na bok, nie przerywając rozmowy. Wygląd podróżnego był zupełnie zgodny z podanym opisem; wytwornie ubrany, wygolony, z twarzą pokiereszowaną. Daszek podróżnej czapeczki zakrywał czoło i zachodził aż po binokle, które miał na oczach.

W chwili, gdy dawał do wagi swoje kufry, uczuł nagle na rękach kajdanki i głos gruby, ostry szepnął mu do ucha:

— Tylko bez awantur, bez oporu! Jest nas więcej!

Czy z powodu tego, że zajście to zaskoczyło go nagle, czy też rzeczywiście posiadał sporą dozę zimnej krwi, dość że nie stawiał żadnego oporu. Uśmiechnął się szeroko, pokazując rząd ładnych, białych zębów i głosem z głębi gardła wychodzącym, zawołał:



Lewa ręka zwisała bezwładnie na temblaku, a na całej twarzy i głowie widniały sińce i podrapania.

— Carramba! Awantura! To zabawne na honor! Ależ przez was spóźnię pociąg!

Był to więzień bardzo przyjemny. Ale w gabinecie komisarza głównego dostał napadu wściekłości, który trwał mgnienie oka. W jednej chwili został ubezwładniony i związany. Teraz wyglądał, jak wielka puszka, silnie sznurami ściągnięta, wydająca przekleństwa i ryki.

Jeden ajent miał nogę złamaną, drugi żebra nadwerężone, a Jaminotowi również się dostało, lecz powtarzał on z humorem: „to nic“, kiedy go mamy.

Nie zwracając uwagi, że krew zalewa mu twarz, Jaminot zerwał nagle czapeczkę więźniowi, który bezsilny wodził do koła strasznym wzrokiem i klął przeraźliwie.

Wtedy oczom Jaminota ukazała się świeża, nie zaschnięta jeszcze blizna pod okiem.

— Aha! mój gołąbku — zawołał ajent — więc to ty? Cóż ty na to mówisz, bratku?

ROZDZIAŁ XIII.

Rozwiązanie zagadki.

Pan Noileau miał już do czynienia z oskarżonymi wszelkiego rodzaju, różnego temperamentu i zachowania, którzy mu nieraz dobrze krwi napsuli, i nic już go nie mogło wyprowadzić z zwykłego spokoju. Ale zdumiał się w najwyższym stopniu, gdy nazajutrz po dokonaniu owego aresztowania stanął przed nim zmęczony Gantrin. Uprzedzono sędziego, że będzie miał do czynienia z dziką bestyą, tymczasem miał przed sobą człowieka ubranego z wyszukanym smakiem, o ruchach zręcznych i eleganckich, o głosie łagodnym, wyrażającego się wytwornie i bez przesady. Gdyby nie świeża blizna na czole, sędziaby przypuścił, że popełniono nową pomyłkę.

Człowiek ten czynił wrażenie tak silnego moralnie, jak i fizycznie, iż pan Noileau zauważył w duchu, że sprawa nie popłynie bardzo łatwo. Badanie będzie tem trudniejsze, że dotąd nie miano jasnego dowodu jakiejkolwiek winy uwięzionego.

Zarzucano mu prawdopodobny stosunek z Janiną Bernay, wstrętne poprzednie zajęcie i czyny, zmianę tylokrotną nazwiska i twarzy, bójkę zażartą z ajentami.

Wszystko to dawało go w podejrzenie, ale właściwie oskarżać go nie było można, że należał jako spólnik do zbrodni na ul. Clichy.

Zaraz na wstępie p. Noileau, patrząc mu prosto w oczy, zapytał go o nazwiska, przezwiska, wiek, miejsce urodzenia, narodowość, zawód. Odpowiedział niewzruszony i bardzo spokojny:

— Proszę mi wybaczyć, panie sędzio, ale czuję się w prawie zapytać, o co jestem oskarżony; inaczej bowiem nie będę odpowiadał na żadne pytania.

Pan Noileau uznał za stosowne nie obwijać rzeczy w bawełnę, widząc, że to do niczego nie doprowadzi i wytłómaczyć jasno oskarżonemu, o co chodzi.

— Jesteś pan oskarżony o podwójne morderstwo, dokonane w styczniu w willi na ulicy Clichy...

Pan Noileau ulegał pierwszemu wrażeniu, atakując nieprzyjaciela otwarcie i niespodziauie, zapomniawszy o tem, że nie ma żadnych podstaw do podobnego postępowania i że będzie bezsilnym wobec pierwszego zaprzeczenia uwięzionego. Lecz czyniąc tak, p. Noileau uznawał, że postępuje lojalnie. Nie chciał dochodzić do prawdy zapomocą podstępu lub sztuczek, tak często w jego zawodzie praktykowanych, brzydził się nimi i dlatego to otwarcie szedł prosto do celu.

Miał przed sobą człowieka — obwinionego o morderstwo, dlaczego miał to przed nim ukrywać?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Pierwsze krakowskie Towarzystwo weteranów wojskowych.

(Do illustracyj na stronie 10).

Bardzo pożyteczne Towarzystwo weteranów, bo mające na celu wspieranie ich za życia w czasie choroby, oraz pamiętające o nich po śmierci, gdy sprawia im pogrzeby, a wdowom daje zapomogi, zmieniło w roku bieżącym swego prezesa.

W miejsce p. Jana Staszczyka, pozasłużbowego porucznika, oraz inspektora miejskiej straży akcyzowej, który przewodniczył lat dwadzieścia temu Towarzystwu, wybrali weterani krakowscy pana Antoniego Kunzego, rezerwowego porucznika rachunkowego, który od szeregu lat pełni funkcye szefa buchalteryi w firmie „A. Hawełka“, będącej własnością rzadkiej ofiarności obywatela, jakim jest pan F. Macharski.

Weterani żegnali się z prawdziwym żalem ze swym dotychczasowym prezesem, który pomimo gorących próśb nie dał się odwieść od zamiaru ustąpienia, powodowany do tego stanem swego zdrowia.

Po osobistości tak popularnej, jaką jest p. Staszczyk, nie łatwe obowiązki objął nowy prezes. Niewątpliwie jednak odpowie on swemu zadaniu, będąc przez ogół naszego miasta znany jako człowiek bardzo taktowny, dobry obywatel i żołnierz, który umiał spełniać swe obowiązki.

Słowa, któremi przemówił do kolegów, skoro wybrano go jednomyślnie prezesem, wskazują na to. Rzekł on wówczas: „Pamiętajmy o tem, że jesteśmy tylko wojskowymi weteranami. Jako tacy nie bawimy się wcale w politykę. Naszym celem przedewszystkiem jest wspieranie się nawzajem. Z tego korzystają chorzy, starzy członkowie naszego Stowarzyszenia, oraz pozostałe po nich wdowy i sieroty, bez względu na narodowość i religię“.

Jestto więc w całem znaczeniu tego słowa stowarzyszenie humanitarne, do którego powinno się zapisywać jak najwięcej członków. Dosyć powiedzieć, że w dwu latach, 1905 i 1906, wydało ono 8403 koron na koszta leczenia, na wsparcia itd. dla tych, co doń należeli.

W dzisiejszym numerze podane podobizny przedstawiają zasłużonego prezesa, który ustąpił, oraz nowowybranego.



Dla ochrony przed bandytyzmem: Publiczność wchodząca kolejno do gmachu urzędu pocztowego w Warszawie. (Do artykułu na stronie 10).



Pretendenci do tronów: Hr. Merenberg, z domu ks. Jurjewskaja.



Pretendenci do tronów: Hr. Merenberg z synem

Pretendenci do tronów.

Niema tak małego tronu na świecie, na którym by nie chciano zasiąść, skoro się do tego nadarza sposobność. A więc mamy obecnie „kwestyę luksemburską“ i „kwestyę portugalską“. Wprawdzie ani w. książę luksemburski Wilhelm, ani Don Carlos I., nie opuścili dotąd swych tronów, ale już o nie toczy się kłótnia.

I tak, jak już o tem poprzednio pisaliśmy, Don Miguel Braganza (którego podobiznę wraz z żoną zamieszczamy), ma zamiar wykorzystać obecne zamieszki w Portugalii i uwolnić swego kuzyna od trudów spełniania ciężkich obowiązków królewskich. Szanse jego są — o ile można wnioskować z ostatnich doniesień dzienników — bardzo niewielkie. Prezydent ministrów Franco, zapatrując się na swego poprzednika z XVIII-go wieku, Pombala, dzierży dotąd silnie władzę, powierzoną mu przez króla i prawdopodobnie nie dopuści do żadnego gwałtownego przewrotu.

Pretendent zaś rozporządza zbyt małymi środkami finansowymi, aby mógł z ich pomocą poprzeć swoje pretensye.

Inaczej przedstawia się sprawa następstwa tronu w Luksemburgu. Tam stary książę ma sześć córek i pragnąłby im zapewnić następstwo tronu. Ale zapomniał o tem, że istnieje jeden z jego krewnych, który wedle obowiązującej ustawy w W. księstwie Luksemburskiem, ma bliższe do tego prawo, niż one. Jest to mianowicie hr. Jerzy von Merenberg, syn księcia Mikołaja Nassau, który był morganatycznie ożeniony z córką największego poety rosyjskiego, z panną Natalią Puszkin, ta zaś otrzymała od ks. Waldeck tytuł hrabiny Merenberg.

Najstarsza siostra obecnego pretendenta jest żoną morganatyczną wielk. księcia rosyjskiego Michała Michałowicza, on zaś ożenił się z księżniczką Olgą Jurjewską, córką cesarza Aleksandra II. i jego morganatycznej żony, księżnej Dołgorukowej.



Pretendenci do tronów: Don Miguel ks. Braganza z żoną, ks. Teresą z domu Löwenstein-Wertheim-Rosenberg.

Hr. Merenberg wniósł odnośny protest do Rady stanu w Luksemburgu, przyczem — jak twierdzą złośliwi — nie tyle rozchodzi mu się o tron luksemburski, ile o ewentualne objęcie fideikomisu rodziny książęcej Nassau, ocenionego na 90.000.000 koron.

Portrety hr. Merenberga, jego najstarszego syna i żony podajemy także w dzisiejszym numerze.

Kronika tygodniowa.

Dnia 17 b. m. wstąpiła „nowa Austrya“ w progi parlamentu. Nowa jak nowa, raczej odnowiona, odświeżona, potynkowana. Jaka z niej będzie pociecha, tego nie wie zarówno ani bar. Beck, ani p. Weisskirchner, ani Lueger, ani Kramarz, ani p. Abrahamowicz. Kontrastów w niej co niemiara. Zwycięsko wkroczyli do Izby socyaliści, ale jeszcze większe zwycięstwo odnieśli antysemici. Tylko trzech wszechniemców uratowało życie, więc skrajny nacyonalizm poniósł niby klęskę, ale przybył nowy „naród“: żydzi-syoniści z własnym narodowym klubikiem. Dwa narody wschodnio-galicyjskie, ukraincy i starorusini, uważający się za Rosyan, zlały się naprzód w jeden naród; później jednak dwóch z tego narodu zrobiło się... Czechami. W kole polskiem konserwatyści stali się taką mniejszością, a demokraci taką olbrzymią większością, że prezesem Koła wybrano jednogłośnie najkonserwatywniejszego konserwatystę Abrahamowicza. Socyaliści, którzy w małej grupce byli lwami ryczącymi, teraz w wielkiej grupie przybierają pozę łagodnych baranków i nie dają się nikomu wyprzedzić w objawie uczuć lojalnych. Srożący się „ludowcy“ weszli w ścisły kontakt z Kołem polskiem. Dr. Gross przysiadł się do ludowców, ks. Kopyciński został narodowym demokratą, konserwatyści krakowscy przedzierżgnęli się w demokratów, syoniści złożyli przyrzeczenia w języku polskim. Prezydentem „postępowej“ Izby wybrano antysemitę klerykała.

Notuję te fakta nietylko ku wiecznej pamięci, ale i w tym celu, aby Szanowni Czytelnicy zechcieli mnie objaśnić, co się urodzi z tego galimatyasu. Trudniejsze to zadanie, niż rozwiązanie logogryfu, arytmogryfu, zagadki zgłoskowej, szarady lub rebusu. Dlatego też za rozwiązanie tej zagadki przeznaczam wspaniałą nagrodę. Kto się najlepiej w tym chaosie połapie, ten będzie miał prawo zapisać się na członka krajowego związku turystycznego, który świeżo, dla poparcia turystyki krajowej, postarał się o znaczne zniżki w cenie biletów między... Tryestem a Wenecyą, oraz na dalmatyńskich liniach Towarzystwa przewozowego. Jest nadzieja, że z czasem, jeżeli nie za rok, to za lat 20, a co najwyżej za 50, Związek turystyczny wyjedna zniżenie cen biletów (powrotnych na dni kilka) do Muszyny (Krynicy), Żegiestowa, Iwonicza, Starego Sącza (Szczawnicy i Pienin) i t. d., aby dać możność szerszym warstwom zwiedzania zakładów kąpielowych i pięknych miejscowości.

Ale kiedy mowa o powrotnych biletach, powróćmy do „nowej“ polityki austryackiej. Najwybitniejszym jej momentem była mowa tronowa. Znajduje się w niej szeroki program pracy na wszystkich polach gospodarstwa państwowego. Przekształcenie społeczne, powołanie do praw i obowiązków szerokich mas ludności, wymagało postawienia takiego programu. Zapowiada on szereg reform doniosłych dla każdej prawie warstwy ludności; rzuca hasło „spokoju narodowościowego“. To też wrażenie mowy tronowej było wysoce dodatnie, łagodzące objawiający się silnie pesymizm. Jest on zresztą zrozumiały. Austrya przeżywa rzeczywiście poważne chwile, więc każdy umysł szerszy z pewną obawą patrzy w przyszłość. Nie czas teraz na drobnostki, na interesiki kółek — wszyscy od „nowej“ Austryi nowych dróg wymagają. Stąd w dyskusyach politycznych wszędzie uderza ton wyższy — każdy klub radzi nad doniosłemi sprawami, aby nie stanąć nieprzygotowanym do walki.

I w Kole polskiem prąd ten silnie zawiał. Z prawdziwą rozkoszą czytaliśmy sprawozdanie z pierwszego jego posiedzenia. Zanim się ukonstytujemy — mówił JE. Abrahamowicz — powinniśmy naprzód poznać się wzajemnie i porozumieć, oraz omówić sytuacyę. Więc po dyskusyi kiedy wybrano prezesa i po mowie ministra Dzieduszyckiego, przystąpiono natychmiast do porozumienia się, poznania, omówienia sytuacyi, wogóle do spraw najważniejszych, piekących, od których rozstrzygnięcia w pierwszym rzędzie zależą losy kraju. Pierwszy poseł Kozłowski, konserwatysta, poparty przez posła Stwiertnię, demokratę, przedstawił wnioski w sprawie drożyzny materyału opałowego, zakładania składów taniego drzewa z lasów rządowych, zniżenia taryf na drzewo itd. Po przyjęciu tego wniosku tenże sam poseł poruszył drugą sprawę zasadniczą, a mianowicie zażądał zniesienia kolczykowania świń i pokrywania kosztów oglądania bydła przez skarb państwa. Sprawa ta wywołała ogólne zainteresowanie — pięciu posłów wystąpiło w obronie nierogacizny i z żądaniem, aby państwo uwzględniło tę drugą (bydlęcą) potrzebę kraju. Poseł Małachowski mówił o rampie kolejowej we Lwowie, poseł Lubomirski o ubezpieczeniu od ognia, Stojałowski wnosił interpelacye w sprawach kolejowych...

Pierwsze te kroki Koła polskiego przyjął kraj z entuzyazmem. Zwłaszcza sprawa kolczykowania świń odrazu rozjaśniła sytuacyę i dała nam podstawę do wyrobienia sobie sądu, czego po naszej delegacyi możemy się spodziewać. Przypomniały nam się słowa Juliusza:

Bo czyn ludu nie piosenka

. . . .

To nie na słońc, gwiazd granicy
Z kochankami mdlejąc latać...
Ale twardo, ale jasno
Śród narodu swego stać,
Myślą bić, chorągwie rwać,
Świecić czynu tarczą własną!

. . . .

Honor myślom, z których błyska
Nowy świat i forma nowa,
Bo są światu, jak zjawiska,
Jako jutrznia są różowa...

Czy takie myśli rzucano na zjeździe polskich literatów i dziennikarzy katolickich w Warszawie, trudno odgadnąć ze sprawozdań bardzo skąpych, bardzo suchych, bardzo powierzchownych. Jedno tylko na pewno powiedzieć można, że ks. arcybiskup ormiański Teodorowicz, zdobył sobie serca wszystkich uczestników swemi przemówieniami. Każde jego wystąpienie przyjmowano owacyjnie — stał się duszą zjazdu. Nawet pisma „obojętne“ i wprost wrogie kościołowi oddają przemówieniom jego, tak pod względem formy, jak i treści, głębokie uznanie. W słowach gorących, nacechowanych ogromną miłością ojczyzny i pragnieniem dobra kraju, przestrzegał on przed jednostronnością sądów. Katolicyzm — mówił — powinien służyć tylko za podstawę pracy — nie powinien zniechęcać, rozdwajać, lecz jednoczyć w pracy obywatelskiej. Nie może jej nadawać znaczenia wyłączności wyznaniowej, mogącej odstręczyć niejednego z tych, co będąc pożytecznymi w tej pracy, nigdy przeciwko wierze nie występują. Niech hasło katolicyzmu nie pokrywa nigdy marnej nieraz roboty i tendencyj osobistych. Duchowieństwo i katolicy powinni brać gorący udział w pracy ogólno-narodowej i nawet jej przodować... Tylko zbożną wspólną pracą z całem społeczeństwem możemy osiągnąć najlepsze skutki dla narodu. Nie powinno się wystawiać wyłącznie tylko etykiety katolickiej, — Pius X. dał wskazówkę do strzeżenia się tej wyłączności...

Ze zjazdu publicystów katolickich pospieszyła Warszawa na... igrzyska olimpijskie. Na placu wystawowym przy ul. Agrykoli odbywały się ćwiczenia konne, szermierskie, gimnastyczne, rzucanie dyskiem i włócznią, patrzono na francuską walkę gladyatorów — był i „Pochód Nerona“, było i „Zdobycie Troi“. W „gymkhanie“ (jakaś indyjska zabawa konna) brały udział i panie, ubrane w czerwone rajtroki. W „corso“ reklamowały się różne firmy kupieckie — między innemi na samochodzie oświetlonym jeździł jakiś gorset „Aurelii...“ Jednem słowem było dyabelnie wesoło, tak wesoło, jak bywa prawie tylko w Warszawie. I to zawsze: przed Dumą, podczas Dumy i po Dumie; przed ekspropriacyami i bojkotami i podczas bojkotów i ekspropriacyj... Skończyły się trwające półtora miesiąca wyścigi, a zaraz odbyły się owe igrzyska olimpijskie, a jeszcze przed nimi był jakiś „wielki festival“, była „Sobótka“, były wyścigi cyklistów i t. d. Na tydzień bieżący zapowiedziano drugą „Sobótkę“, dalej „Sianokos“ i „Dyabłów na Dynasach“. Pomysłowości nie brak.

No i Kraków też się rozruszał. Przyjechała lwowska operetka, zawitali do parku krakowskiego chunchuzi, na torze wyścigowym było rojno i „bardzo zajmująco“, jak twierdzą sprawozdawcy. Totalizator płacił nawet po 200 kor. za 10. Fakt to wybitny, będący świetnem zaprzeczeniem lekkomyślnie rzucanego twierdzenia, że wyścigi u nas nie mają racyi bytu, że nie przedstawiają interesu.

Interes dla naszej płci pięknej otwiera się... w Brazylii. Rząd brazylijski postanowił zbliżyć do siebie ludność brazylijską z napływową ludnością polską, a w tym celu ogłosił, że każdy brazylijczyk, pojmujący Polkę w święty stan małżeński, jak również każdy Polak, żeniący się z brazylijką otrzyma na własność spory „lot“ ziemi. Można więc odrazu zrobić „los“ i dostać „lot“. Rzecz nie do pogardzenia, zwłaszcza że Brazylijczycy, jak to wszystkim wiadomo z „Życia Paryskiego“, są ludzie bardzo weseli i uczuciowi.

A u nas co? Bieda i koniec. Coraz mniej obecnie posad, a nawet chcąc dostać bylejakie „miejsce“ musisz się wyrzec przekonań politycznych. Jest to najświeższa nowość, specyalnie nasz galicyjski wynalazek. Zaszczyt tego wynalazku przypada powiatowej kasie chorych w Jarosławiu. Ogłasza ona w dziennikach, że jest w niej do objęcia posada na 100 kor. miesięcznie, ale kompetujący o nią muszą wystawić „zobowiązanie się“, że „nie będą brali czynnego udziału w życiu publicznem i społecznem“. Czy mają czyścić buty członkom zarządu kasy, o tem nie wspomina ogłoszenie. Ale to się samo przez się rozumie.

Najmilszą dla serca polskiego wiadomość zostawiłem na koniec kroniki. Ponieważ każde odznaczenie Polaka za granicą, każdy jego tryumf, każda nagroda napawa nas dumą i radością, przeto notuję skwapliwie, iż czterech obywateli galicyjskich otrzymało nagrody na wiedeńskiej psów wystawie. „Sursum corda!“

ZE SZTUKI.

Przedstawiciele naszego malarstwa i rzeźby rozbili się na kilka obozów. Ma to swą złą i dobrą stronę, bo w razie np., gdy należy wystąpić przed zagranicą, polscy artyści nie zjawiają się solidarnie, ale za to w kraju powstaje emulacya, na której sztuka może tylko zyskać.

Jednym z takich obozów o bardzo wybitnych cechach indywidualnych jest Towarzystwo artystów polskich „Sztuka“ w Krakowie, które obecnie otwarło swą 11-tą wystawę w gmachu Tow. Przyj. Sztuk Pięknych w Krakowie.

Idąc za dziś bardzo modnym prądem, ci, co urządzili tę wystawę, postarali się o to, aby wygląd sal był pusty. Tu i owdzie wisi obraz na szarem tle sal krakowskiego „salonu“ — ale to nie czyni dobrego wrażenia. Gdybyśmy bowiem mogli oglądać same tylko arcydzieła, to nic nie możnaby mieć przeciw temu; arcydzieła jednak nie przychodzą na zawołanie. W ten sposób oko widza błądzi po sali, a gdy zatrzyma się na jakimś bardzo przeciętnym obrazku, nie znajduje dla siebie dalszego punktu oparcia na czemś, co by je rzeczywiście mogło zająć.

Królem wystawy obecnej jest p. Wyczółkowski. Dał on dwadzieścia kilka prac, jedna piękniejsza od drugiej. Taki np. portret Kasprowicza (nr. kat. 87) jest wprost arcydziełem. Albo „Góral“ (nr. 98), albo „Rybak“ (nr. 96), czyż to nie są rzeczy naprawdę piękne?... I co jeszcze uderza u tego artysty, to mistrzowskie owładnięcie techniką. Farba olejna, pastel, ołówek są mu zarówno posłuszne.

Prawdziwą niespodziankę publiczności przygotował tym razem p. Axentowicz, który przypomniał jej, że poza wiecznym typem angielskiej „miss“, umie także co innego stworzyć. Wybornym jest jego „Portret dra S.“ (nr. 5), a także „Portret ks. Cz.“ (nr. 1).

„Altmeister“, p. Fałat, rzeczywiście zaczyna tracić dawną werwę. Po tem, co teraz wystawił, z trudnością przypomina się jego dawne rzeczy. Wszystko robione „na hura“, wszystko niedociągnięte, jakiś pośpiech w robocie, który trudno zrozumieć.

Przepyszny jest „portret K. Kamińskiego“ (nr. 44) p. Lentza. Genialny ten aktor, sportretowany bajecznie, czyni jednak wrażenie, że jest schwytany na płótno jako „markiz Priola“, którym zdobywa sobie takie olbrzymie sukcesy na każdej polskiej scenie.

P. W. Tetmajer dał bardzo dobry szkic „Konie“ (nr. 76), zaś p. J. Mehoffer charakterystyczny „portret O. Berthier“ (nr. 47), przy którym możnaby zauważyć, że nie zawsze karykatura jest wskazaną, gdy się portretuje kogoś bez zamiaru umieszczenia jego podobizny w „Simplicissimusie“.

P. Pautsch, uczeń prof. Axentowicza, wystawił „Pogrzeb“ (nr. kat. 63), po którym widać, że mniej studyował naturę, aniżeli dzieła swego mistrza.

Wartemi uwagi są „Witraże“, wykonane w zakładzie S. G. Żeleńskiego w Krakowie (nie-



Złote gody królewskie: Król szwedzki Oskar II

gdyś Tuch i Ekielski). Taki gwałtowny zwrot do średnich wieków jest niebezpiecznem „salto mortale“. My, ludzie przeciętni, ale z XX-go w., nie możemy patrzeć oczyma ludzi z XII go lub XIII-go wieku. Za to patrzą w ten sposób autorowie wymienionych witraży, pp.: Mączyński, Mehoffer i inni. Im to może sprawia przyjemność, ale ogółowi inteligentnej publiczności bynajmniej. *Alfa.*

Złote gody królewskie.

Jeden z najsympatyczniejszych monarchów Europy, król szwedzki Oskar II-gi, obchodził uroczyście w tym miesiącu złote wesele z małżonką, urodzoną księżniczką Zofią Nassau. Cały naród szwedzki, który uwielbia swego sędziwego monarchę — urodził się on 21 stycznia 1829 roku — brał gorący udział w tej uroczystości. Wierni swemu monarsze Szwedzi, pragnęli mu przynajmniej w ten sposób wynagrodzić przykrości, jakie spotkały go w ciągu ubiegłego roku, ze strony Norwegów, którzy bez żadnej racyi zerwali unię personalną i obrali sobie nowego króla, na jak długo – niewiadomo.

Król Oskar zasłużył sobie na miłość poddanych wielkim patryotyzmem, przystępnością i liberalnemi zapatrywaniami, które to przymioty stawiają go w rzędzie najzasłużeńszych panujących w dalekich stronach Skandynawii.

Pomimo tego, że pochodzi z rodziny Bernadottów, zżył się tak dalece z przybraną ojczyzną, że Szwedzi uważają go za najlepszego z jej synów. Obdarzony niepospolitym talentem literackim wydał sporo dzieł oryginalnych, tyczących się historyi Szwecyi, dwa tomy poezyj, a także kilka tomów tłómaczeń z niemieckiego i francuskiego.

Królowa Zofia jest o siedm lat młodszą od swego małżonka i dla swej dobroczynności, równie jak on kochaną przez poddanych.

Król Oskar i królowa Zofia mają czterech synów. Najstarszy z nich, ks. Gustaw Adolf, jest następcą tronu i liczy obecnie lat 49. Młodszy jego brat, książę Oskar, ożeniwszy się z panną Ebbą Munck, zrzekł się praw księcia krwi i nazywa się obecnie ks. Bernadotte. Inni z kolei książęta noszą miana: Karola i Eugeniusza.

Cała rodzina królewska odznacza się wielkiem zamiłowaniem do sztuk pięknych, popiera gorąco sztukę narodową, a ks. Eugeniusz jest malarzem krajobrazów, w których zdradza niepośledni talent.

Nowa placówka Sokola.

W przeddzień wielkich uroczystości sokolich z powodu czterdziestolecia gniazda lwowskiego, tej macierzy Sokolstwa polskiego, odbyła się w Buczaczu, na wschodnich kresach naszego kraju, piękna uroczystość poświęcenia nowego gmachu tamtejszego gniazda sokolego.

Gmach ten, wykończony już w roku ubiegłym, stanął w Buczaczu w prześlicznem, malowniczem, położeniu i stanowi prawdziwą ozdobę miasta. Koszt budowy wynosił 80.000 kor., a zdobycie tak zna-



Złote gody królewskie: Królowa szwedzka Zofia, żona Oskara II.

cznych funduszów na ten cel, jest zasługą energii i zapobiegliwości kilku dzielnych druhów: pp. Zycha, bar. Błażowskiego, Burzyńskiego i i. Plany pięknej budowli wykonał, a następnie osobiście ich wykonaniem kierował niezmordowany w pracy sokolej, druh Gębarowicz.

Z okazyi wizytacyi kanonicznej dokonał w ubiegłą niedzielę uroczystego poświęcenia nowego



Fot. I. Niemand, Buczacz.

Nowa placówka Sokola: Przyjęcie w sali nowego gmachu Sokoła w Buczaczu na cześć gości.

gmachu ks. biskup Bandurski. W uroczystości wzięła udział prócz Sokolstwa miejscowego i z pobliskich gniazd inteligencya z Buczacza i z okolicy, duchowieństwo, mieszczanie i włościanie. Były też obecne deputacye wielu towarzystw, jak „kó-



Fot. I. Niemand, Buczacz.
Nowa placówka Sokola: Nowo wybudowany gmach Sokoła w Buczaczu.

łek rolniczych“, T. S. L., stow. mieszczan polskich „Ogniska“ itd.

Po uroczystym akcie poświęcenia odbyło się w dużej sali nowego gmachu Sokoła skromne przyjęcie na cześć dostojnego gościa oraz uczestników



Nowe prezydyum parlamentu i Koła polskiego w Wiedniu: Dr. Wł. Dulęba, wiceprezes Koła polskiego.

poświęcenia gmachu. Do stołu zasiadło około 200 osób ze wszystkich sfer. Podczas zebrania wygłoszono szereg podniosłych, patryotycznych przemówień, z pomiędzy których na pierwszem miejscu wymienić należy prześliczne, pełne głębokich myśli przemówienie złotoustego arcypasterza. Wzywał on Sokolstwo i całą społeczność polską do gorliwej pracy na polu uświadamiania jak najszerszych warstw, do wzmacniania siły i ducha narodu, do pielęgnowania wiary i mowy ojczystej, a słowa natchnione zacnego kapłana-patryoty wywarły ogromne, na długo niezatarte wrażenie.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy portret ks. biskupa Bandurskiego w szatach liturgicznych oraz zdjęcie fotograficzne nowego gmachu Sokoła w Buczaczu i grupę uczestników podczas przyjęcia.



Nowa placówka Sokola: Ks. biskup Bandurski, który dokonał poświęcenia nowego gmachu Sokoła w Buczaczu. Fot. I. Niemand, Buczacz.

Zasłużone uznanie.

Na każdem stanowisku, czy to rządowem, czy prywatnem, można sobie zdobyć uznanie przełożonych, a sympatyę i przywiązanie kolegów i podwładnych, jeśli się obowiązki służbowe wypełnia sumiennie i gorliwie, jeśli się pracuje z poświęceniem i oddaniem, stawiając na pierwszym planie dobro danej instytucyi.

Przykładem takiego wzorowego urzędnika może być p. Dawid Metzger, mianowany właśnie przed kilku dniami w uznaniu zasług rzeczywistym inspektorem towarzystwa wagonów sypialnych w Paryżu, a dotychczasowy kierownik sekcyi polskiej tego towarzystwa z siedzibą w Krakowie.

P. Metzger, urodzony w Jarosławiu, po ukończeniu studyów na politechnice we Wiedniu, wstąpił przed 25 laty do służby we wspomnianem wyżej towarzystwie. Zacząwszy tam od najniższego stopnia, przeszedł szybko cały ich szereg i w roku 1892 wrócił do kraju w charakterze kierownika nowoutworzonej sekcyi w Krakowie, otrzymawszy równocześnie tytuł zastępcy inspektora. Zarówno tu na stanowisku kierownika, jak poprzednio w charakterze niższego urzędnika, odznaczał się niezwykle sumiennem wypełnianiem obowiązków i zdobył sobie niepodzielne uznanie. To też kiedy teraz upłynęło 25 lat od chwili wstąpienia p. Metzgera



Nowe prezydyum parlamentu i Koła polskiego w Wiedniu: Prof. Dr. Głąbiński, wiceprezes Koła polskiego.

do służby w towarzystwie wagonów sypialnych, generalna dyrekcya tej instytucyi zamianowała go rzeczywistym inspektorem i obdarzyła medalem zasługi. Należy się też spodziewać, że p. Metzgera Kraków nie utraci i że sekcya polska towarzystwa pozostanie nadal w Krakowie. Pojawiły się bowiem pogłoski, iż sekcya ta ma być przeniesioną do innej miejscowości Galicyi — a to ani dla sprawy towarzystwa, ani dla rozwoju Krakowa nie mogłoby być pożądanem.



Nowe prezydyum parlamentu i Koła polskiego w Wiedniu: Ks. Pastor, wiceprezes Koła polskiego.

W numerze dzisiejszym zamieszczamy zdjęcie fotograficzne z bankietu, urządzonego w jednej z tutejszych restauracyj z okazyi odznaczenia pana Metzgera.



Nowe prezydyum parlamentu i Koła polskiego w Wiedniu: Dr. Ryszard Weiskirchner, prezydent Izby poselskiej.

Nowe prezydyum parlamentu i Koła polskiego w Wiedniu.

Nareszcie Izba posłów austryackiej Rady państwa wybrała swe prezydyum, w skład którego wchodzą, jak to Czytelnikom z dzienników wiadomo, dr. Weiskirchner, prezes, dr. Zaczek, pierwszy wiceprezes i dr. Starzyński, drugi wiceprezes. W ten sposób Izba, wybrana na podstawie czteroprzymiotnikowego głosowania, ma na razie za swych kierowników konserwatywnego Niemca, bo za takiego uważać należy każdego członka partyi chrześcijańsko-socyalnej, konserwatywnego Czecha i konserwatywnego Polaka. Dla innych jednak żywiołów będą utworzone później miejsca w prezydyum.

Dr. Ryszard Weiskirchner liczy obecnie lat 46, jest dyrektorem wiedeńskiego magistratu i osobistością bardzo wybitną w swem stronnictwie. Cieszy się szczególnymi względami wszechmocnego w Wiedniu burmistrza, dra Luegera, który podobno widziałby go najchętniej swym następcą. Po raz pierwszy wybrany został do Rady państwa 1897 r. z wiedeńskiej dzielnicy Alsergrund. W rok później otrzymał mandat do Sejmu dolnoaustryackiego. W Izbie spełniał kilkakrotnie funkcye sekretarza. Jest bardzo tęgim mówcą i niezmordowanym agitatorem.

Dr. Jan Zaczek należy do starszej generacyi parlamentarzystów. Urodzony w r. 1849, po ukończeniu studyów prawniczych otworzył kancelaryę adwokacką w Ołomuńcu. Był zawsze gorliwym zwolennikiem partyi staroczeskiej, której przewodnictwo na Morawach objął w 1895 roku. Zasłużył się przez doprowadzenie do skutku ugody czesko-niemieckiej na Morawach, gdzie piastuje godność zastępcy marszałka kraju.

Prof. dr. Stanisław Starzyński wykłada na Uniwersytecie lwowskim prawo polityczne. Już w roku 1884 po raz pierwszy został wybrany do Rady państwa, w której odznaczał się fachowemi wiadomościami, jako gruntowny znawca ekonomicznych stosunków Galicyi. Należy on do tych bardzo niewielu konserwatystów czystej wody, którzy pomimo zmienionej ordynacyi woborczej znów się pojawili na szerokiej arenie politycznej. Nie był on w dawnym Kole polskiem absolutnym przeciwnikiem reformy wyborczej, popierał ją owszem w zamian za rozszerzenie praw autonomicznych Galicyi.

Koło polskie znacznie zmniejszone w swem składzie liczebnym, 49 głosami na 51 obecnych wybrało swym prezesem posła Dawida Abrahamowicza. Jestto osobistość tak znana w świecie politycznym austryackim, że niema potrzeby przypominać szczegółów z jego życia i działalności.

Wiceprezesami obrano posłów: ks. Pastora, dra



Nowe prezydyum parlamentu i Koła polskiego w Wiedniu: Dr. Jan Zaczek, I. wiceprezydent Izby poselskiej

Dulębę i dra Głąbińskiego. Nastąpiło to na podstawie zmienionych statutów Koła, które przewidywały dawniej tylko dwóch wiceprezesów. Ze zmianą jednak stosunków politycznych musiało też Koło poczynić i pewne ustępstwo co do swych statutów, które już nie odpowiadają obecnym warunkom. I tak, obok prezesa konserwatysty zasiedli przedstawiciele centrum, demokratów i narodowych demokratów.



Aparatem redakcyjnym fot. W. Lis, Kraków.

Zasłużone uznanie: Uczestnicy bankietu z okazyi odznaczenia inżyniera p. Metzgera; 1. Jubilat p. D. Metzger; 2. Zast. dyrektora kolei p. Solecki.



Aparatem redakcyjnym fot. W. Lis, Kraków.
Opera lwowska w Krakowie: Scena końcowa II aktu »Cyrulika sewilskiego«; PP. Kasprowiczowa. Szymanowska, Mossoczy, Paszkowski, Ludwig i Dianni.

Z lwowskiego bruku.

(Historya przed pojedynkiem. — Spotkanie na placu powystawowym. — Policzek i wyzwanie. — Smutne refleksye. — Warunek za warunek. — Pojedynek. — Z wystawy hygieny i innych wystaw. — Lwowski Prater. — Występy Frenkla.

Tydzień ubiegły zaczął się pojedynkiem. W poprzednim liście wspomniałem o tem, że jakiś przedsiębiorczy facet w dzień otwarcia wystawy hygienicznej był na placu powystawowym i zakochawszy się w nóżce, w jednej nóżce, ale za to tkwiącej w cudownym ażurze, pozwolił sobie dotknąć nóżki laską bodaj... Piękna dama wydała okrzyk, obróciła się nagle i była oburzoną. Jeszcze więcej oburzonym był mężczyzna jej towarzyszący, mąż czy narzeczony, czy co innego i dowiedziawszy się od swej pięknej towarzyszki, o co chodzi, palnął faceta w twarz, w świeżo wygoloną, dobrze wykarmioną i rumianą twarz. No, takie rzeczy zdarzały się już u nas nieraz a facet obrażony w ten sposób chowa zwyczajnie wszystko do kieszeni i uważa sprawę za załatwioną. W gruncie rzeczy nie ma się tak bardzo o co gniewać, bo taki policzek za wybryk czy żart na tle zachwytu, to nie policzek za kradzież, lub inną niehonorową rzecz. Ale w tym wypadku było inaczej.

Facet, oberwawszy taką hałaśliwą niespodziankę w oczach setek, lub tysięcy ciekawych na takie specyały ludzi, a zwłaszcza kobiet, nie mógł puścić płazem takiej bądź co bądź obrazy publicznej (żeby choć w cztery oczy!) i myślał o odwecie. Dowiedział się o adresie i nazwisku bijącego towarzysza damy i nazajutrz posłał mu „dwóch nieprzyjemnych“, czarno ubranych, z poważną miną i z propozycyą honorowego załatwienia sprawy. Tamten zamianował dwóch swoich świadków i rozpoczęły się zwykłe w takich sprawach konferencye i pertraktacye, które trwały dość krótko, bo zaledwie jeden tydzień i oto naznaczono termin honorowej rozprawy na tę niedzielę. Tymczasem na dwa dni przed przed samym pojedynkiem facetowi przyszły straszne myśli do głowy. Słyszał, że tamten strzela jak meksykańczyk, trafia ptaka w locie nawet lewą ręką... i same inne takie rzeczy, które, gdy się o innych słyszy przed pojedynkiem, działają bardzo, ale to bardzo fe... I zaczął już żałować wszystkiego.

Nie trzeba było macać laską po obcych nogach, a jeśli już, to nie trzeba było gniewać się za jakiś tam głupi policzek... Co jest?... Już nie tak się dostawało lekko ręką po gębie, ale nawet sękatą laską po grzbiecie i jeszcze niżej, a jednak na tem się kończyło i było cicho. A tu na nowo będzie awantura. Honor nie honor, ale tak znowu ni stąd ni zowąd dać sobie kulą dziurawić skórę albo nawet — co nie daj Boże! — dać się zastrzelić na śmierć... Oho... gorąco!

I zdarzyło się, że facet, który wyzwał tamtego za otrzymany policzek, przez wspólnego znajomego zaproponował mu zgodę ze względów... familijnych. Rodzina, a zwłaszcza jakaś matka i trochę ciotek sprzeciwia się stanowczo. On sam chce i radby nawet dużo strzelać, nawet parę razy, nawet na jeden krok, ale familia, baby, względy, przyszły spadek, bliska partya, pan przecież to sam dobrze rozumie!

Ale wyzwany nie chciał rozumieć. Powiada, że jak strzelać, to strzelać, a już właśnie ma gust na taką strzelaninę, bo już dawno nie strzelał. Długo trzeba go było prosić, zanim zgodził się na... pozorny pojedynek. Stanęła ugoda, że obaj będą strzelać w niebo.

— No, dobrze — dodał — ale jeszcze jedno, w takim razie nabijcie mu jego pistolet ślepymi patronami. Słyszałem, że bardzo kiepsko strzela, gdyby więc mierzył we mnie, nie trafiłby z pewnością, ale skoro już mierzyć będzie w niebo, to gotów mnie właśnie trafić, dlatego dajcie mu ślepe patrony!

Na jednem z przedmieść Lwowa było w niedzielę dużo huku, ale obaj zapaśnicy wyszli — na szczęście — cało. Nawet garderoba była... całą.

* * *

Równocześnie prawie odbył się inny pojedynek, ale jego powód osłonięty jest czarną tajemnicą, więc nic o nim donieść nie mogę.

Zresztą i tak już za wiele miejsca zabrała mi sprawa pojedynkowa, a miałem jeszcze kilka spraw innych.

* * *

W pierwszym rzędzie wspomnieć mi wypada o wystawie przyrodniczo-lekarskiej i hygienicznej, która w dniu otwarcia została okradzioną. Nie jest ona rozmiarami, czy ilością wystawionych przedmiotów wielką, ale bardzo ciekawą. Nie sprzyja jej pogoda, ale gdy się już raz zdarzy pogodny dzień, a w dodatku dzień niedzielny lub świąteczny, to cały Lwów przychodzi na wystawę, ażeby zobaczyć, jak hygiena wyglądać powinna, bo Lwów jej niestety nie zna. I mamy wtedy „rendez-vous“ wszystkich sfer, począwszy od ludzi ze złotem na kołnierzach lub w kieszeniach, a skończywszy na złodziejach, szukających złota w cudzych kieszeniach. Ludzie zapominają, że przyszli na wystawę hygieny, ale chodząc po lwowskim Praterze podziwiają wystawę prześlicznych twarzyczek, przepysznych strojów i inne wystawy tak bardzo wystające i wystawione, że już dalej nie idzie...

* * *

A w restauracyach ścisk, walka o kawałek miejsca, o krzesło, o kiełbaski, o piwo, o kelnerów, o płatniczego. Na placu zabaw tysiące niewiast z pod znaku patelni i rondla, świat pracy ciężkiej i lekkiej i bardzo dużo dzieci wszystkich rodzajów. Słowem cały Lwów przychodzi na plac powystawowy, na wystawę hygieny galicyjskiej, na muzykę i flirt, na spektakle kinematografu i inne rzeczy, niewymienione w prospekcie i katalogu wystawy.

* * *

A inni, których także jest bardzo wielu, chodzą wieczorem na Frenkla. Korzystają z tych kilku dni ostatnich, aby go widzieć i podziwiać i chodzą bez względu na pogodę, gorąco lub słotę, chodzą i zachwycają się i biją brawa, aż im puchną dłonie. Inni artyści robią wszystko możliwe, aby nie pozostać w tyle i od czasu do czasu mamy w teatrze prawdziwy koncert. Takim było przedstawienie „Kierownika szkoły“. Tak doskonałej gry u wszystkich bez wyjątku z Frenklem na czele pozazdrościć nam może każdy stołeczny teatr zagraniczny.

I dlatego pomimo zbliżającej się kanikuły, teatr prawie zawsze pełny. A w niedzielę „Klubem kawalerów“ pożegna teatr miasto i pojedzie do Krynicy. Ta pauza teatralna potrwa do 15 sierpnia, w którym to dniu wraca bodaj operetka z naszymi słowikami, wdówkami i baletem.

Kl.

Opera lwowska w Krakowie.

Tęskno już było Krakowianom za muzyką. Jednym za muzyką poważną Moniuszków, Żeleńskich, Verdich, Mascagnich, Puccinich, innym znowu za lekką, Leharów, Straussów, Offenbachów i jak tam oni się nazywają. To też wszystkim miłą była wiadomość o przybyciu do Krakowa na dwumiesięczny pobyt opery i operetki lwowskiej, a jeszcze milszem stwierdzenie, że poziom artystyczny, na jakim drużyna lwowska obecnie się znajduje, jest bardzo wysoki i zaspokoić może nawet wybredne wymagania.

Wśród drużyny tej przeważnie dawni i dobrzy znajomi. Panie: Kasprowiczowa, Łopatyńska, Hendrichówna, Markówna, Mokrzycka, Kliszewska, Miłowska, Schupp — panowie: Dianni, Malawski, Ludwig, Okoński, Mossoczy, Paszkowski. Wszyscy oni to siły pierwszorzędne, zgrane ze sobą iześpiewane, boć na nich opierał się repertuar całego sezonu we Lwowie.

Nie dziw też, że w tych warunkach powodzenie lwowskiego „staggione“ musiało być zapewnione, nie dziw też, że teatr na każdem przedstawieniu zapełniony po brzegi. A było już tych przedstawień sporo, wszystkie udałe i wszystkie życzliwie przez publiczność krakowską przyjęte.

Na początek poszły w obu działach, zarówno w operze jak operetce, rzeczy przeważnie znane z poprzednich sezonów i niejednokrotnie w Krakowie wystawiane. Nowością była opera Weissa pt.: „Żyd polski“, rzecz na ogół bardzo słaba i trzymana jedynie świetną grą i przecudnym śpiewem p. Ludwiga.

Z innych oper duże powodzenie zdobył sobie Rossiniego „Cyrulik sewilski“. Jest to rzecz nie nowa, napisana przed stu blisko laty (1816), mimo to jednak nigdy się nie starzejąca. Muzyka jej, pełna uroku i czaru, lekka ogromnie i ogromnie sympatyczna. „Cyrulik“ Rossiniego to istna perełka wśród oper „buffo“. Do powodzenia jej w Krakowie przyczyniło się w znacznej mierze doskonałe wykonanie.

Dużą, popisową partyę Rozyny śpiewała w tym roku młoda, w Krakowie dotąd prawie nie znana śpiewaczka, panna Stanisława Korwin Szymanowska. Już pierwsze jej występy w tegorocznym sezonie (Lalka w „Opowieściach Hoffmana“ i Filina w „Mignon“) wykazały, iż głos młodziutkiej śpiewaczki, może nie wielki pod względem siły, jest jednak zgoła niepospolity. Prześliczna barwa, ogromna czystość w intonacyi, dźwięk miły, doskonałe ustawienie, to wszystko zalety, które w głosie p. Szymanowskiej odrazu uderzają i które jej niezwykle piękną przyszłość rokują. A przy tem wszystkiem aparycya nadzwyczaj sympatyczna, bo panna Szymanowska jest osobą piękną, bardzo zgrabną, o ruchach pełnych wdzięku. Jako Rozyna podobała się ogólnie. Jej przepyszne tryllery i pasaże, które chyba z dźwiękiem głosu słowika porównać można, wywołały kilkakrotnie burzę oklasków przy otwartej scenie.

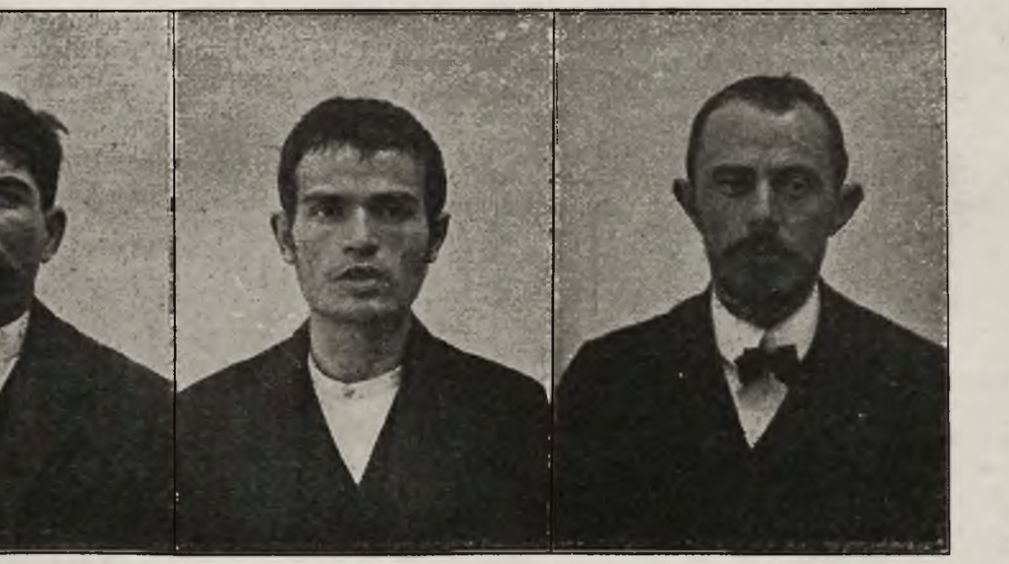
Na słowa gorącego uznania zasłużyli również wykonawcy innych partyj „Cyrulika“ — a więc pani Kasprowiczowa i panowie: Dianni (hr. Almaviva), Ludwig (sympatyczny Figaro), Mossoczy i Paszkowski (Basilio i Bartolo, dwie wysoce komiczne postacie).

tr.

* * *

W numerze dzisiejszym zamieszczamy zdjęcie fotograficzne z „Cyrulika sewilskiego“, przedstawiające finał II-go aktu.

Aresztowanie handlarzy żywym towarem.



Mendel Katz. Mendel Stern Henryk Szabo.

Aresztowanie handlarzy żywym towarem.

Policyi lwowskiej udało się przyaresztować trzech niebezpiecznych rzezimieszków, trudniących się handlem dziewcząt, a będących — zdaje się — członkami międzynarodowej szajki takichże handlarzy. Dyżurujący na dworcu kolejowym ajent policyjny zauważył mianowicie przed paru dniami, jakąś młodą, przystojną dziewczynę w towarzystwie trzech mężczyzn, którzy starali się ujść bacznemu oku ajenta. Przystąpił tedy do młodej dziewczyny, która chciała początkowo przed nim uciec, podobnie, jak i jej towarzysze. Ajent jednak przychwycił całe towarzystwo i sprowadził je na inspekcyę policyjną, gdzie się okazało, że aresztowani nazywają się: Jakob Szabo, lat 39 z zawodu krawiec, Szymon Katz, lat 27, właściciel dorożek i Mendel Stern, lat 22, czeladnik krawiecki; znajdująca się w ich towarzystwie dziewczyna nazywa się Bajla Davidovits i pochodzi, jak jej uwodziciele, z Węgier. Wedle znalezionego u Szaba telegramu i licznej korespondencyi, nie ulega wątpliwości, że aresztowani mieli zamiar Davidovitsówną uwieść do Ameryki i tam ją sprzedać.

Aresztowanych odstawiono do aresztów sądu karnego.

W numerze dzisiejszym zamieszczamy podobizny trzech uwięzionych rzezimieszków.

NA WIEŻY.

Powieść na tle życia paryskiego przez

Fortuné du Boisgobey.

Tłómaczył z języka francuskiego K. W.

5 Ciąg dalszy

Malarz upierał się wprawdzie przy swem pierwszem podejrzeniu, ale wnet zaczął rozmawiać o czem innem, opowiedział baronowi historyę swego życia, odsłaniał plany na przyszłość. Poznać można było z tego, że ten dwudziestopięcioletni młodzieniaszek ma dobre serce, wiele fantazyi, dużo szlachetnych porywów, ale że jest bezdennie lekkomyślny. Baron powziął do niego sympatyę, podał mu swój adres i prosił, żeby go odwiedzał.

Zaledwie znalazł się baron w swojem mieszkaniu, zaczęły się w nim odzywać jakieś dziwne pragnienia dociekania prawdy w sprawie tego morderstwa. Miał najsilniejsze przekonanie, że nieznajomy jest uczciwym człowiekiem, więc zapragnął wyszukać właściwego zbrodniarza, by niewinnego uwolnić od krzywdzących podejrzeń. Odzywała się w baronie, coraz gwałtowniej, wrodzona mu skłonność do stawania w obronie pokrzywdzonych, co, właściwie powiedziawszy, tworzyło jego jedyne zajęcie i życie mu wypełniało. Był to rodzaj filantropii. Zaczął rozmyślać. Wprawdzie nie ulega wątpliwości, że ten nieznajomy wszedł w towarzystwie kobiety, ale czy przed nim nie weszła tam inna para, której oni z okna szpitalu nie widzieli? a przecież i przez kościół wejść można na wieżę, więc może tamtędy dostał się niespostrzeżenie prawdziwy morderca i jego ofiara. Zaczął też baron żałować, że mu się wpierw na myśl nie nasunęło, aby przepatrzeć wieżę dokładnie i nie poprzestać na zatrzymaniu nieznajomego. Oczywiście była to wina komisarza policyi, ale baron sobie samemu czynił wyrzuty, że tego odrazu nie dostrzegł i komisarza nie zniewolił do spełnienia tego narzucającego się obowiązku. „A może jeszcze czas“ pomyślał baron.

Upodobanie szukania przygód wypchnęło go z domu. Pospieszył do Notre-Dame. U wejścia do wieży stała jeszcze straż policyjna, więc niema po co tędy chodzić, boć tędy złoczyńca wyjść nie mógł. Baron udał się na wieżę przez kościół i dostał się do drzwi kratowych. Gdy zadzwonił, otworzyła panna Verdier. Poznała barona i zapytała go niespokojna:

— Czy przyznał się do zbrodni?

— Nie tylko się nie przyznał, ale wprost wszystkiemu zaprzecza, jestem pewien, że to człowiek niewinny. Prawdziwy zbrodniarz dostał się tu niespostrzeżenie, korzystając z tego, że ojciec pani zostawił drzwi otworem.

— Na miłość Boską, proszę nie wspominać już tego, bo ten biedny mój ojciec straci posadę.

— Niech się pani tego nie obawia. Gdyby nawet tak było, nie będziecie państwo opuszczeni. Proszę liczyć w każdej chwili na mnie.

— Pan się nie zastanowił w tej chwili, że te słowa mogą mnie urażać — rzekła dziewczyna z żalem i powagą.

— Przepraszam panią, że powiedziałem to, nie uprzedziwszy pani, że dr. Daubrac może poświadczyć, jakim jestem człowiekiem. Proszę mi wierzyć, że pragnę być na usługi pani i ojca, tylko z poczucia obowiązku chrześcijańskiego, tylko z bezinteresownej miłości bliźniego.

Rozalia Verdier spojrzała na barona i w jego twarzy dopatrzyła się tylko szczerości, tylko zacności. To też wyciągnęła przyjaźnie ku niemu rękę i rzekła:

— Przepraszam.

Baron pożegnał się i poszedł w górę na wieżę. Szedł z wolna, rozpatrując się na prawo i lewo; kiedy niekiedy zatrzymywał się i spoglądał przez okno na panoramę Paryża. Gdy był w pośrodku wieży i wyjrzał, spostrzegł niebieski welon, zaczepiony o gzyms. Było to właśnie w tem samem miejscu, w którem obaj z Daubrac'em widzieli towarzyszkę nieznajomego i przypatrywali się jej przez lornetkę. Baron zaczął się nad tem zastanawiać, skąd się ten welon wziął w tem miejscu? zbrodniarz strącił swoją ofiarę ze szczytu południowej wieży, zatem welon powinienby się w tamtej stronie znajdować. Gdyby nawet wiatr go był zerwał, to nie byłby w żaden sposób na tę stronę welonu uniósł, bo wiatr wiał od północy, a welon utkwił na stronie zachodniej. Zakrzywioną laską sięgnął baron ku gzymsowi, zahaczył nią o welon i wyciągnął.

Welon był zupełnie nowy, a nawet wisiała przy nim, na nitce, karteczka z ceną sklepową. Meriadec schował welon starannie, postanowiwszy zanieść go sędziemu śledczemu, a tymczasem spinał się dalej na wieżę, w przekonaniu, że tam kogoś znajdzie. Wszedł tu przez schody umieszczone w północnej wieży, a teraz chciał przejść na wieżę południową, w której mieści się sławny wielki dzwon i inne dzwony mniejsze. Musiał przechodzić przez rodzaj korytarza, który łączy obydwie wieże; gdy wszedł na korytarz spotkał tu chłopca, może dziewięcio lub dziesięcioletniego. Chłopiec miał na sobie ubranie, jakiego używają mali posługacze na ulicach, roznosiciele gazet, tylko że było zupełnie czyste i świeże. Meriadec spojrzał na chłopca ze zdziwieniem, bo inteligentna twarz dziecka, dumne spojrzenie i starannie, elegancko uczesane włosy, nadawały się jakoś do ubrania, które miał na sobie.

— Co tu robisz — zapytał Meriadec.

Chłopiec spojrzał dumnie, ujął się w bok rękoma i patrzył na barona tak, jak zwykli patrzeć obrażeni. Baron zniecierpliwiony ponowił pytanie dość ostro, a wówczas chłopiec tupnął nogą i wypowiedział jakieś wyrazy, w niezrozumiałym dla barona języku.

Ciąg dalszy nastąpi.

LUDWIK STASIAK.

Nomen non est omen.

Humoreska.

Ilekroć razy byłem w Czechach, zawsze pracowałem nad tem, aby się Czesi z Niemcami pogodzili. Być może, że ktoś mą pracę nazwie trudem Syzyfa, który chce marną swą siłą dźwigać w górę skałę Tatr, postawić Giewont na Garłuchu — niechże ludzie mówią co chcą, słowa mnie od czynu nie odstraszyły. Odpowiadałem ludziom, że gdyby tysiące robiło to samo, co ja, zgoda czesko-niemiecka byłaby niedługo faktem dokonanym. Praca moja była kroplą, czas i dobra wola ludzka zmieni ją w morze. Dziś ufność mą i wiarę straciłem, godzenia Czechów z Niemcami zaprzestałam. Stało się to z następujących powodów.

* * *

Gdym przybył do jednego z dwujęzycznych miast północnych Czech, zacząłem bezzwłocznie moje apostolstwo. Prosto z hotelu poszedłem w miasto, aby złożyć wizyty ludziom zajmującym ważne stanowiska społeczne i agitować wśród nich na rzecz mojej idei. W samym rogu rynku dom ozdobny, na domu złota tablica, na tablicy napisane: „Jaroslav Priskocil, notaryusz". Wszedłem do biura. Natychmiast przystąpię do rzeczy. A trzymać się będę zwykłej mojej metody. Zawsze sprawę zgody chowam na ostatni plan, rozpoczynam zaś od schlebiania narodowej dumie, nie waham się nawet uderzyć w dzwon skrajnego szowinizmu. I teraz tak zacznę. Przedemną jest notaryusz Jaroslav Priskocil... Przecie notoryczny Czech. Nietylko nazwisko jego Priskocil świadczy o tem, ale i fizyognomia, ta nasza słowiańska twarz. Rzekłem po czesku:

— Dzień dobry panu. Cieszę się, że mogą złożyć uszanowanie drogiemu pobratymcowi. Przyszedłem do pana, aby zacisnąć węzły braterstwa słowiańskich narodów. Bo zwycięstwo słowiańszczyzny jest tylko kwestyą chwili. Zabrali nam połabską ziemię, my ich na Łabę wnet wyrzucimy. Wyrzucimy Niemców z Czech, Morawy, Ślązka, wytępimy w Łużycach, oczyścimy z nich Meklemburg i Rugię.

Jaroslav Priskocil powstał. Widzę jak krew napływa do jego na wskróś słowiańskiej twarzy. Zacisnął pięście:

— *Herr Gott verfluchter Bagaż, slavisches Gesindel, Kyryelejson, Alleluja!*

Rzucił się na mnie, chwycił mię za kołnierz i wyrzucił za drzwi. Bo ten Jaroslav Priskocil był jednym z najbardziej zażartych szowinistów niemieckich.

* * *

Dla idei trzeba cierpieć, ja cierpię i nie zrażam się niepowodzeniami. Mimo niepowodzenia trudzę się dalej. Koło „Narodnego Domu" jest złota tablica. Na tablicy napisane: Rudolf Knechthuber, adwokat Wszedłem natychmiast do adwokackiego biura. Cóż za wspaniały typ Niemca ten Knechthuber! Niebieskie oczy, czerwona twarz, długa, czerwona jak płomień broda, wykapany krzyżak, którego na Grunwaldzie Matejki Tatar na stryczek złapał. Mówię po niemiecku:

— Dzień dobry panu, panie Knechthuber. Sprawia mi to prawdziwą przyjemność, że poznaję dzielnego przedstawiciela narodu Germanów. Jestem pełnym szacunku dla wielkiego narodu, imponuje mi olbrzymi geniusz niemieckiego Vaterlandu. Dobrze powiedział sławny na cały świat dramaturg, cesarz Wilhem II, że Niemcy są solą ziemi, genialnie scharakteryzował: *König Preussen, Deutschen voran, Preussen, Deutschen voran, Deutsche Menschheit voran.* Tak jest! Niemcy są kwiatem narodów, Niemcy są pochodnią, za którą ludzkość idzie. Przekleństwo tym, którzy chcą Germanii zedrzeć wieniec laurowy z białego czoła, ona stratuje wszystko co niemieckiej ojczyznie na drodze stoi...

Słowa moje zamroził wzrok Rudolfa Knechthubera. Z czerwonego stał się on purpurowym. Zerwał się z krzesła na równe nogi.

— *Hrom a peklo*!!

— Pan mówisz...

Pyta się adwokat syczącym głosem:

— *Iste Vy němec*?!

— Ubóstwiam niemczyznę.

Rzucił się Knechthuber, po pokoju czegoś szuka, na etażerce stał wazon z palmą.

— *Ty sakrmentska potvoro, ty nemecka cholero!*

Rozbił Knechthuber wazon na mej głowie, szuka kija, kija nie znalazł, oderwał więc nogę od stołu.

— *Ty vosklivy sibenicniku, że by te hrom zabil, że by te vsecky dábli vzali.*

Połamał mi kości. Bo ten Rudolf Knechthuber, to był nieprzejednany czeski radykał.

* * *

Trzy tygodnie leczyłem się w szpitalu. A przez ten czas przyszedłem do przekonania, że lepiej nie kłaść palca między drzwi...

KONIEC.

Zagadki do nagrody

Szarada.

Ułożył Stefan Spunda, Skała.

Pierwsza, druga, trzecia, imię
Szukaj w kalendarzu,
Pierwsza, czwarta, rodzaj jazdy
Zgadnij luminarzu.
Piąta wreszcie, chociaż krótka
Mówi za się wiele,
Zna go przecież Polska cała
Zważcie przyjaciele.
Całość łatwo odgadniecie
Tylko cierpliwości,
Jestto miasto nadto słynne,
Znane z swej przeszłości.

Zagadka literacka.

Ułożył K. Chodkiewicz, Zbydniów.

Podane wyrazy tak poprzestawiać, by ich pierwsze litery dały nazwisko, trzecie zaś dwie powieści polskiego powieściopisarza: Czechy, Ebro, gatunek, irysy, katorga, reumatyzm, Styr, uszko, zakon.

Z półek księgarskich.

»Antkowe wesele«, »Wiosna«, »Księżyc i słońce« — Trzy jednoaktowe komedye Zygmunta Przybylskiego, ukazały się na półkach księgarskich, nakładem Gebethnera i Wolfa w Warszawie.

Teatry amatorskie zdobyły w tych utworach niepospolitą atrakcyę, wiadomo bowiem, że jednoaktówki Przybylskiego jak najchętniej są grywane na wszystkich scenach i scenkach i cieszą się nadzwyczajną popularnością. Żaden teatr amatorski nie obejdzie się nigdy bez komedyi Przybylskiego i w tym względzie bierze on zawsze rekord przed innymi autorami. Ostatnie trzy nowości, zaledwie się ukazały w handlu księgarskim, znalazły licznych nabywców wśród organizatorów scen amatorskich. Nie potrzebujemy dodawać, że obok naturalnego wdzięku i dosadnego humoru, nowe utwory Przybylskiego doskonale się nadają do gry improwizowanych artystów. Doczekają się też prawdopodobnie kilku wydań, jak dawne popularne: »Bzy kwitną«, »Pierwszy bal«, »Pożegnanie«, »Schadzka« »Fotografia Jędrusia« itd

Rozwiązanie zagadek z Nru 24.

Logogryf.

Z, oda, fresk, Marsylia, Akwizgram, Grochów, mazur, Bug, **p**, Noe, Indye, Lourdes, Kordylery, Carmen Sylwa, Teofil Lenartowicz, Obrona Częstochowy.

Z deszczu pod rynnę.

Logogryf.

P, Noe, kozik, Majorka, biret, Tyr, Haman, baryton, lalka, Powązki.

Pozory mylą.

Łamigłówka.

G, nos, Jalta, parodya, Wawer, lin, **n**.

Gołowin.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: K. Fuchs Czeremchów, M. Świtlikowa Rzeszów, Mikołaj Rechoński Kołomyja, F. Niepokój Krosno, M. Małaczyński Pikułowice, M. Arbesbauer Lwów, Towarzystwo »Zgoda« Krosno, E. Bogdalska Koropuż, J. Kierska Truskawiec.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. Mikołaj Rechoński w Kołomyi. Prosimy o nadesłanie 72 h. na koszta przesyłki.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya pół kilograma pomadek o mieszanych smakach, z cukierni A. Piaseckiego w Krakowie.

Odpowiedzi Redakcyi.

Pani J. E. L. w Dąbrowie Górniczej: W odpowiedzi na jej pismo donosimy, że nie możemy brać odpowiedzialności za skuteczność środka leczniczego, o który zostaliśmy zapytani Kosztuje on 10 koron austryackich i bywa wysyłany tylko za poprzedniem nadesłaniem tej kwoty.

M. Freilich

znany lekarz chorób przepuklinowych, **we Lwowie, ul. Grodecka 35**, który potrafił usunąć najcięższe wypadk ruptury z prawdziwem mistrzostwem bez użycia noża i innych (krwawych uszkodzeń) operacyj, otrzymał za swoje zasługi lekarskie wielki złoty medal i wieniec honorowy na tego rodzaju wystawie, jaką była III-cia międzynarodowa wystawa we Florencyi.

Od obu uczonych, z których członkowstwa w naszych przedsiębiorstwach jesteśmy dumni, także w tem miejscu w imieniu całego naszego sekretaryatu i sztabu współpracowników

najserdeczniejsze życzenia i uznanie

panu Freilichowi wyrażamy.

Największa i drogocenna biblioteka Włoch, »Bibloteca Marciana« w Wenecyi przyjęła z wdzięcznością rozprawę p. M. Freilicha o jego leczeniu ruptury.